

WOJEWÓDZKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA-
KSIĄŻNICA KOPERNIKAŃSKA
W TORUNIU

NOWA LEGENDA TORUŃSKA



EDYCJA 2019

Wojewódzka Biblioteka Publiczna – Książnica Kopernikańska
w Toruniu

NOWA LEGENDA TORUŃSKA

Toruń 2019

Redaktor techniczny

Katarzyna Kulig

Korekta

Beata Antczak-Sabala

Konkurs literacki „Nowa legenda toruńska” jest dofinansowany ze środków Gminy Miasta Toruń



MIASTO
TORUŃ

© Copyright by Książnica Kopernikańska

© Copyright by Autorzy tekstów

ISBN 978-83-919056-6-1

WYDAWCA

Wojewódzka Biblioteka Publiczna – Książnica Kopernikańska

w Toruniu

ul. Słowackiego 8, 87-100 Toruń

www.ksiaznica.torun.pl



KONKURS LITERACKI „NOWA LEGENDA TORUŃSKA”

ORGANIZATOR KONKURSU

Wojewódzka Biblioteka Publiczna – Książnica Kopernikańska
w Toruniu



PATRONI HONOROWI



Marszałek Województwa
Kujawsko-Pomorskiego
Piotr Ciałbecki



Prezydent Miasta Torunia
Michał Zaleski

PATRONI



fundacja
kult
kultury



SPONSORZY



SANATORIUM
uzdrowiskowe
AUGUSTÓW

NOWA LEGENDA TORUŃSKA

Wstęp	7
Margota Kott Nowa twarz Świętego Tomasza	9
Piotr Niedźwiedź Legenda o smoku poskromionym przez dwie skrzypaczki	18
Adam Zaguła Legenda o przeniesieniu Torunia w obecne miejsce	21
Dorota Lizurej O trąbce Michała Archanioła, która za jednym razem serce i kamienicę skruszyła	26
Joanna Bawoł Legenda o toruńskim Świetliku	41
Kinga Grablis O Koperniku, który zbudził Księżyc	43
Marcin Sumowski Zdrajcy	50
Krzysztof Lewandowski Legenda o toruńskiej twierdzy i architekcie	57
Olga Rudzińska O piernikarce i przekupce	63
Krystyna Wasilkowska-Frelichowska Jak słowiczy śpiew wabił wodniaków	69

Wstęp

W legendach zapisane są dzieje miasta, historie mieszkańców, miejsc i obyczajów. Toruń ma ustalony kanon legend pochodzących z dawnych czasów: pierniki, Krzywa Wieża, flisak i żaby. Jednak nasze miasto cały czas się rozwija, pojawiają się nowe miejsca, ludzie i zjawiska.

Konkurs literacki „Nowa legenda toruńska” został zorganizowany przez Wojewódzką Bibliotekę Publiczną – Książnicę Kopernikańską. Miał on na celu promocję Torunia, jego kulturowego bogactwa i integrację społeczności lokalnych, a przede wszystkim odkrycie nowych legend.

Zmagania konkursowe trwały od 1 lipca do 15 września 2019 r. Każdy pełnoletni mieszkaniec województwa kujawsko-pomorskiego mógł podzielić się z nami swoją historią w postaci słowa pisanego. Z trzydziestu siedmiu nadesłanych prac grono jury wybrało dziesięć najlepszych, utrwalonych w tej publikacji.

Anna Broda, Katarzyna Kulig

Margota Kott

Nowa twarz Świętego Tomasza

*Wszyscy leżymy w rynsztoku,
lecz niektórzy patrzą w gwiazdy.
Mark Twain*

W Toruniu i do gwiazd blisko, i gotyk dosłownie na dotyk. Są też wspaniałe witraże w kościołach i katedrze. Zabytki klasy zerowej. Wystarczy podnieść wysoko głowę i spojrzeć w niebo. Albo na witraż w południowej nawie toruńskiego kościoła mariackiego. Co można dojrzeć? To zależy... Od optyki widzenia, czystości duszy i skłonności uwierzenia w cud.

Zagrzmiały organy. Tomaszowi aż ciarki przeszły po plecach. Ale co robić? Taka praca. Uczestnicy mszy świętej, odbywającej się w toruńskim kościele Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, usiedli w ławkach jak na komendę. Przyglądał się temu smutnemu teatrowi z wysokości rusztowania. Tuż obok stał jego przyjaciel i wspólnik Piotr, zwany żartobliwie Pitem. Od kilku miesięcy wspólnie zajmowali się renowacją witrażu w ostatnim oknie nawy południowej. Przedstawiał Świętego Tomasza Apostoła. Stanowiło to temat niezliczonych żartów ze strony Pita.

– Musisz teraz wyjątkowo się starać – zagadywał żartobliwie, przecierając okulary skrajem kraciastej, flanelowej koszuli.

– Dlaczego wyjątkowo? Zawsze się staram, znasz mnie – zaperzył się Tom.

– Eee, nie o to biega. Masz się szczególnie wysilić, niewierny Tomaszu, bo reanimujesz przecież swojego patrona...

– Bardzo śmieszne! – oburzył się Tomasz, zagorzały ateista.

Zapadła cisza. Pomimo panującego na zewnątrz upału w świątyni było zimno jak w grobie. Smutek i powaga snuły się w niszach, nawach i podcieniach niczym duszący dym z kadzidła.

– Wchodzisz w mrok... – gromki głos księdza zabrzmiał w tej ciszy jak wystrzał.

– Gotycko... – szepnął Tom i zaśmiał się bezgłośnie.

– Gotyk na dotyk – odpowiedział Pit, co zabrzmiało jak odzew do hasła w kiepskim filmie szpiegowskim.

– Wchodzisz w mrok – powtórzył ksiądz dla zwiększenia efektu. – I co widzisz?

– „Ciemność widzę, ciemność” – zażartował Tom.

Cytat z „Seksmisji” jawił się dość zawadiacko w tym, jakże dostojnym, wnętrzu.

– Nie widzisz nic – wyrecytował z emfazą proboszcz. – Czarno. Lecz gdy oczy powoli przyzwyczają się do ciemności, oto... – zawiesił teatralnie głos – oto widzisz światło. Światło Boże.

– Eeee – mruknął pod nosem Tom i wrócił do pracy. – Banał.

Wyłączył się. Jak zawsze podczas pracy. Słowa docierały do niego jedynie jako szum, nic nieznaczący, szeleszczący potok. Dopiero na brzmienie słowa „witraż” zastrzygł uszami niczym nietoperz. Takie słowa wychwytywał z eteru jak radar.

– O czym on gada? – zapytał Pita, który także zaczął się uważniej przysłuchiwać kazaniu.

– Idziesz ulicą, toruńską Starówką – kontynuował proboszcz żywo gestykulując. – Tu kościół, tam kościół. Bo Toruń to miasto kościołów. Widzisz mury i okna. A te okna świątyń są szare. Z zewnątrz. Ale gdy wejdiesz do środka, gdy przekroczysz próg... – zawiesił ponownie głos.

Ciszę przerwał na chwilę niekontrolowany wybuch kaszlu jakiejś staruszki. Potem wytarła nos i z głośnym kliknięciem zatrzasnęła zamek czarnej torebki, chowając zużytą chusteczkę.

– Gdy znajdziesz się w środku, oto przestrzeń witraża przenosi cię do innego wymiaru. Do rangi *sacrum*. Całe piękno witraża widzi się i przeżywa z wewnątrz. To jest istota kościoła, istota wiary! – zagrmiał gromko.

Tomasz pomyślał, że to było dziwne kazanie. Doszedł jednak po chwili do wniosku, że nie zna się na tym. Nie jego klimaty. Zresztą co to ma za znaczenie? Pracuje tutaj tylko. Co do porównania z witrażami stwierdził, że było bardzo obrazowe. Fakt, witraż oglądany z bliska nie daje poczucia piękna. Dopiero z daleka i w odpowiednim świetle.

– Spapugował słowa papieża Benedykta XVI, z kazania w katedrze św. Patryka – podsumował Pit, przytrzymując się asekuracyjnie metalowej rury.

Znów zagrały organy, lecz Tomaszowi wciąż w uszach brzmiały znamienne słowa z kazania: „przestrzeń witraża to przestrzeń świątyni”. W samo sedno!

Gdy zasypiał, pod powiekami automatycznie pojawiały mu się obrazy, freski, epitafia i witraże. Każdego dnia, przychodząc do pracy, obchodził cały kościół wokoło. Wyglądało to jak minipielgrzymka. Codziennie przyglądał się od nowa wszystkim zgromadzonym tutaj dziełom sztuki, jakby widział je po raz pierwszy w życiu. Szczególnie długo wpatrywał się w obraz *Sąd Ostateczny*, zawieszony w prezbiterium, ponad bogato rzeźbionymi stallami. Komuś patrzącemu z zewnątrz mogłoby się zdawać, że pogrążony jest w głębokiej, żarliwej modlitwie. On jednak jedynie kontemplował czyste piękno.

– Moim bogiem jest piękno – odpowiadał niezmiennie na pytanie, zadawane często przez rodzinę i znajomych, w kontekście wiary i wyznania.

Kochał piękno ponad wszystko. Jednak prawdziwą miłością jego życia była córeczka Amelka. Z jej matką, a swoją była żoną, nie mieszkał już od

roku. To było jedno z tych małżeństw, gdzie za rozpad związku odpowiedzialne są dwie strony: żona i teściowa. Teoretycznie każdy facet mógłby mu pozazdrościć. Wzenił się w bogatą rodzinę. Matka żony była właścicielką kilku toruńskich aptek. Teść zmarł kilka lat temu i teraz cały interes trzymała żelazną ręką teściowa. Nie przepadali za sobą, choć na zewnątrz oboje próbowali stwarzać pozory. Ktoś, patrząc z boku na ich rodzinę, mógłby powiedzieć:

– Żyje ci się jak w bajce!

– Tak. Jak w bajce – odpowiedziałby rozżalony. – Tyle że to bajka o Kopciuszku, w męskiej wersji. O Kopciuszku traktowanym po macoszemu.

Lubił przypisywać kolory swoim bliskim. Wyobrażał sobie, jakim byłby szkiełkiem w witrażu. Śmieszne? Może, ale takie miał hobby. Pit, jego wspólnik i przyjaciel, byłby całkiem przejrzysty, jak szyba. Z tą całą swoją uczciwością i prostolinijnością. Była żona kojarzyła mu się nieodmiennie z barwą żółtych róż. W języku kwiatów żółty jest kolorem zazdrości. Teściowa? Ta byłaby fioletowa jak trujący denaturat, jagodzianka na kościach. Kolor agresywnie smutny, beznadziejny i upiorny. Kojarzący się z żałobą i sinymi ustami topielców. Aż zimno się robiło od samego wyobrażania. Brrr... A Amelka? Różowa, ale nie ze względu na koszmarne sukienki w stylu sweet Barbie, w które usilnie ubierały ją mama i babcia. Wyobrażał ją sobie różową, z powodu odcienia cery, kiedy przyszła na ten świat. Perłoworóżową. Jego kolorem zaś była czerwień. Kolor życia i ekstazy. Barwa ognia i tętniącej w żyłach krwi. Kochał wyzwania i adrenalinę. Kochał życie.

Chociaż nie był wierzący, lubił ten kościół.

– Nowoczesne świątynie przy tej wysiadają – zwykł mawiać. – Nawet jeśli są w nich witraże.

Wchodząc tu, ogarniał go spokój. A tego ostatnio bardzo mu brakowało. Często żartował, że do rodziny żony pasował jak hipis do wnętrza bazyli-

ki Świętego Piotra. Był tylko jeden plus tego studenckiego małżeństwa. Uko-
chana córeczka. Dziewięcioletnia obecnie dziewczynka towarzyszyła mu dziś
przy pracy. Jak zawsze, kiedy przypadał jego dzień opieki nad córką. A były
to dla niego najszczęśliwsze dni.

- Tatusiu - szczebiotała wdzięcznie, zadając kolejne pytanie. - A co
ten pan trzyma w ręku?

- To węgielnica - odpowiedział. - Takie narzędzie budowlane służące
do wyznaczania narożników budowli.

Widząc, że nie do końca zrozumiała, powiedział:

- Chodzi o to, żeby wszystko dobrze się trzymało i żeby nic się nie za-
waliło.

- Aha - odpowiedziała szczerze zaciekawiona, szykując się już do za-
dania kolejnego pytania. Zachowywała się jednak cichutko, ponieważ w dole
nadal trwała msza.

- Żeby było bezpiecznie - dodał jeszcze i w tym momencie się za-
chwiał.

Nie zdążył złapać się rusztowania. Ręce gwałtownie chwyciły powie-
trze. Pit próbował przytrzymać przyjaciela, lecz było już za późno. Tomasz
spadł wprost na kamienną posadzkę, wydając przy tym krótki, rozpaczliwy
jęk. Głuchy odgłos odbił się echem od gotyckich ścian. Pit przytulił mocno
Amelkę, która trzęsła się niczym w gorączce. Ksiądz przerwał mszę. Witra-
żysta Tomasz leżał nieruchomo, pomiędzy kamiennymi figurami braci śpią-
cych. Ostatnim obrazem, jaki zdążył przemknąć mu przed oczami, była scena
Sądu Ostatecznego z prezbiterium. Zapadł w ciemność.

Przez tydzień walczył ze śmiercią. Majaczył, nie odzyskawszy przytomności.
Spotykał kolegów po fachu. Średniowiecznych mistrzów, witrażystów, z krę-
gu wtajemniczonych. Wymieniali się teraz doświadczeniami. Rozprawiali
o kolorach, ich doborze i znaczeniu, ci, dla których szkło było całym świa-

tem. Rozmawiał z Niclosem, Gunterem, Siegmundem, Petirem i niezliczoną rzeszą dawnych szklarzy i witrażowników. Spotkał także średniowiecznego mnicha Teofila, który wyjawiał mu własne sekrety barwienia szkła.

Pit był przerażony, Amelka płakała, a teściowa nieustannie powtarzała:

– Tak to jest, jak ateista zabiera się za remont witraży w kościele. Tfu! Obraza boska. No i spotkała nieboraka kara.

Ostatniego dnia zobaczył tunel. Czarny jak płynny ołów. Ujrzał jarzące się czerwienią koło, przybliżające się doń z prędkością światła. Krwistoczerwona, płomienna aureole, którą światło przenikało na wskroś. Nie raziło jednak oczu, dawało siłę. Gdy owo koło zbliżyło się na odległość ręki, zobaczył, że przypomina płonącą obręcz. Taką, przez którą skaczą lwy w cyrku. Więc i on skoczył w ciemność. A po drugiej stronie ujrzał wszystkie kolory naraz, w jednym, wszechogarniającym rozbłysku. Żywy witraż, który ukazywał Wszechświat. „Innego świata nie będzie” dudniło mu w uszach. Był w domu.

Organy załkały jak zawodowa płaczka. Potem nastała cisza. Kazanie było krótkie, lecz treściwe. Wikary nie mówił o religii. Wspominał za to Tomasza, który całe swe serce i umiejętności włożył w renowację tutejszych witraży. W pierwszej ławce siedzieli najbliżsi.

– Lepiej być ateistą niż złym chrześcijaninem – mówił wikary, cytując papieża Franciszka.

Pit mógłby przysiąc, że słyszy zgrzytanie zębów teściowej Tomasza. Był tego pewien. Usiadł niedaleko Amelki. Czuł, że jego obecność podtrzyma ją na duchu.

– Świat jest cudem – dodał ksiądz na zakończenie. – Lecz dojrzeć może to jedynie ten, kto jest dobrym człowiekiem.

Nabożeństwo żałobne dobiegło końca. Pozostała jeszcze tylko droga na cmentarz. Ostatnia droga Tomasza.

Kiedy kondukt opuszczał boczną nawę i przystanął przed głównym ołtarzem, Amelka, trzymając mamę i babcię za ręce, spojrzała w górę. Delikatne słońce prześwietlało, tak drogi jej sercu, witraż. Otworzyła mocno oczka ze zdziwienia, widząc zamiast szklanej twarzy Świętego Tomasza żywą twarz swego ojca. Bardziej wyraźną niż na fotografii. Jakby patrzył na nią z wysoka, uśmiechając się przy tym z miłością. Złocista aureola z lśniącymi brylantami czerwieniła się teraz nad jego głową niczym ogień.

– Mamo! Babciu! – krzyczała, próbując przyciągnąć ich uwagę. – Zobaczcie. Tata na nas patrzy. Prawdziwy tata.

One jednak, zerknąwszy w górę, nie zauważyły niczego. Jedynie stary, gotycki witraż. Niekompletny, w trakcie renowacji, ukryty za rusztowaniem.

Pit próbował im powiedzieć, że widzi to, co Amelka, lecz zrezygnował, widząc, jak obie szarpią ją za rączki, kierując się za trumną ku wyjściu. Także wikary ujrzał swój prywatny, niesamowity cud.

– Bez wątpienia wiara jest czynnością intymną – pomyślał w zachwycie – i dzieje się, jak zauważył Święty Tomasz z Akwinu, poza porządkiem wszelkiego stworzenia.

Powietrze drgało jeszcze ostatnimi akordami pieśni na rozesłanie. Liturgia celebracji sakramentu bierzmowania dobiegła końca. W momencie, gdy biskup ze swą świtą zniknął za drewnianymi drzwiami zakrystii, zapadła kontemplacyjna cisza. Większość wiernych opuściła już kościół, jednak co gorliwsi modlili się jeszcze w samotności. Mama i babcia Amelii także już wyszły. Ona jednak, jak przy każdym nawiedzeniu tego kościoła, skierowała się ku południowej nawie. Tam, na samym końcu, tuż ponad postaciami rycerzy, kamiennych braci śpiących, widniało okno gotyckie. Strzeliste, wysokie. Witraż ze Świętym Tomaszem. Spojrzała w górę. Znała na pamięć każdy szcze-

gół. Święty, w turkusowej szacie, z prawą ręką na sercu, w lewej dzierżący węgielnicę. Mędrzec z gęstą brodą, o zamyślnym spojrzeniu. Z aureolą złotą, świetlistą, otoczoną rzędem diamentów. Nad jego głową niebo granatowe, zmęczone, burzowe. Ponad chmurami ściana lasu, gotycki łuk, wsparty na jaspisowozielonych kolumnach. Czerwone jak krew skrzydła anioła. Ponad tym już tylko łukowate, kamienne sklepienie. Po bokach kratownica wiśniowoczerwona, w rombách ciemnozłoty, pospinana butelkowozielonymi dropsami z półprzezroczystego szkła. Pod spodem napis na błękitnym tle, czarny, prawie nietknięty przez czas. *Sanctus Thomas Apostolus*. Tomasz. Jak jej ojciec. Jakże pragnęła, żeby był tu dzisiaj. Z nią.

Nagle usłyszała ciche kroki za plecami. Gwałtownie odwróciła się. To wikary uśmiechał się do niej przyjaźnie. Otrząsnęła się, wracając do rzeczywistości.

– Amelio! Ja wtedy... – zaczął jękać ksiądz. – Byłem tu, kiedy to się stało... Odprawiałem wówczas mszę.

Pociemniało jej w oczach. Wróciły wspomnienia. Tu, pod gotyckim, monumentalnym witrażem, stała się dla niej rzecz najważniejsza. Nieodwracalna.

Stali tak przez chwilę w ciszy. Zatopieni we własnych myślach. Nagle obydwój, jednocześnie, spojrzeli w górę. Gdy słońce prześwieciło barwną taflę, filtrując magicznie światło dnia, zobaczyli to samo. Wyraźne oblicze Świętego. Plastyczną, ludzką twarz, o rysach witrażera Tomasza.

– Świat jest cudem – wyszeptał wikary. – Lecz dostrzeże to tylko ten, kto jest dobrym człowiekiem.

Ty, który odwiedzasz świątynię Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny w Toruniu, przystań na chwilę. Pomiędzy kamiennymi figurami, śpiących wiecznym snem braci Tylickich. Spójrz w górę, na twarz Świętego Tomasza.

Co widzisz? Szkło jedynie, rozświetlone kolorami w ołowianych ramach czy prawdziwą, ludzką twarz?

Jesteś dobrym człowiekiem?

Piotr Niedźwiedź

Legenda o smoku poskromionym przez dwie skrzypaczki

Po niespełna trzech wiekach nieobecności, spędzonych na poznawaniu świata wczas licznych podróży, smok zdecydował się powrócić w rodzinne strony. Jako że na świat przyszedł w ogrodzie toruńskiego burmistrza Kazimierza Leona Schwerdtmanna, to właśnie ku temu miastu nad Wisłą skierował niosące go na przekór porywistym wiatrom skrzydła.

Dostrzegając już coraz to bliższe mu Stare Miasto, uznał za pomysł wyborny oddanie się lotowi ponad wieżami kościelnymi oraz dachami niezliczonych kamienic, które dokładnie tak jak niegdyś wyrastały z ulic i uliczek wyłożonych kocimi łbami. Jakaż to była radość – dziecięca wręcz – jaki gorący poczuł na sercu, puszczający z dymem poczucie nostalgii, dręczącej go przynajmniej od wieku.

Przelatując nad miastem, cieszył się ogromnie, odkrywając na nowo znane z najdawniejszych wspomnień alejki, z którymi spotkanie napełniło go nieznanym dotychczas poczuciem błogiej beztroski, a których obraz niewyraźny widywał w nawiedzających go snach. Nieświadomi niczego przechodnie uznali rzucany przezeń cień za przysłaniającą słońce chmurę, a smagające ich podmuchy wiatru, wzbudzone ruchem niezmierzonych skrzydeł, za element niepogodnej aury. W smoczym oku zakręciła się łezka.

Latał tak godzinami, nie mogąc nacieszyć się domem. Z błogiego, powietrznego spaceru wyrwał go nagle dziwnie znajomy widok, gdy po raz któryś przelatywał nad ukrytą, poboczną uliczką o nazwie Przedzamicze – wcześniej jednak niedostrzeżoną. Przysiadł na skraju dachu i spoglądał w dół, kontemplując jaszczuropolodobną, ceramiczną figurę. Ukazywała stworzenie grubawe, z małymi skrzydełkami i czterema łapkami, wyglądającymi

na nieporadne, o ciele zdobionym różnokolorowymi wypustkami przypominającymi krosty. Uśmiechnął się z politowaniem. Chcąc zapoznać się z towarzyszącą jej inskrypcją, nachylił podłużną szyję i zmrużył ślepie. Wyczytał z niej, że pomnik przedstawia jego.

Ze smoczego brzucha wydobył się odgłos przypominający grzmot. Oto rozgoryczenie zaczęło mieszać się z pokładami drzemiącej w nim złości, uśpionymi przez błogie odczucie powrotu w rodzinny kąt. Jakże to! On – bestia potężna i niepowstrzymana – nie zasługiwał na pomnik, który wyrażałby drzemiącą w nim siłę? Czy ktoś pozwolił sobie zadrwić z niego podczas stuleci nieobecności?

Smok – jako stworzenie z natury potężne, a z potęgi swej dumne – zezłościł się niemiłosiernie, urażony rozmiarem i położeniem stawionego mu pomnika. Spodziewałby się prędzej gargantuicznego monumentu na samym środku rynku, skąpanego w złocie i wyrastającego ponad czubki wszystkich pobliskich dachów. Tymczasem to, co zobaczył, przypominało mu pokraczną jaszczurkę.

Widać mistrz ciesielski i żona żołnierza, którzy przed wiekami zauważyli smoka i zdecydowali się te incydenty zgłosić, patrząc z oddali, nie doszacowali jego rzeczywistych rozmiarów. A może faktycznie w młodości nie prezentował się zbyt doniośle? Tak czy inaczej, na podstawie ich sprawozdań stworzono figurkę – wizję jego własnej osoby, karykaturalną i obraźliwą w oczach spoglądającego na nią z niedowierzaniem pierwowzoru. Jakże bolesna była to pomyłka.

Rozpalony do czerwoności smok stracił panowanie nad sobą. Jak wznosząca się za nim chmura kurzu, mgła wściekłości przysłoniła racjonalne myślenie, gdy wzbił się w powietrze, w poszukiwaniu zemsty za tę nikczemną potwarz. Począł krążyć niespokojnie ponad ulicami Starego Miasta, chcąc odnaleźć punkt najdogodniejszy do dania upustu rosnącej w nim agresji. Po

chwili dostrzegł znajomą, ratuszową wieżę, na której przysiadł, wbijając ostre jak miecze pazury.

Pysk swój wystawił ku niebu i puścił z niego strumień ognia tak gorący, że fala ciepła rozgrzała siedzących nad Wisłą mieszkańców i zabujała przycumowanymi do jej brzegów barkami. Wydał ryk straszliwszy od wszelkiej burzy i gotów już był spalić żywcem Bogu ducha winnych przechodniów, nie większych i nie więcej dla niego znaczących niż mrówki. Uczyniłby piekło na ziemi, byleby spalić przepełniający go wstyd.

Już paszczę rozwarł z zamiarem ataku i skierował ją w dół, gdy nagle do uszu jego dobiegły dźwięki delikatne pary skrzypiec, dochodzące spomiędzy uliczek. Nie wyrwały go może z amoku, ale zdołały przykuć swym pięknem uwagę i przekuć jego pożądanie zniszczenia w chęć podążania za niesionym przez nie błogim spokojem. W jednym momencie zastygł, a w drugim ruszył za melodią.

Przywiodła go ona na ulicę Szeroką, przed oblicze dwóch młodych, grających na skrzypcach dziewczyn, które miały w zwyczaju każdego lata umilać czas zjeżdżającym do Torunia turystom, zarabiając tym samym co nieco. Wpatrzył się w ich smukłe palce, panujące nad tańczącym po naciągniętych strunach smyczkiem. Chłonał w bezruchu delikatność wpływającą powoli w jego niespokojne wnętrze.

Ukryta w delikatnych nutach magia sprawiła, że cała nagromadzona złość stopniowo ulatywała, a sam smok zaczął kurczyć się coraz bardziej. W końcu zmalał do rozmiarów przedstawiającego go pomnika. Ponoć po dziś dzień można go spotkać pod tą postacią, gdy krąży bezwiednie ulicami Starej Równi, w poszukiwaniu kojącej muzyki.

Adam Zaguła**Legenda o przeniesieniu Torunia
w obecne miejsce**

Dawno, dawno temu, przy drodze, niedaleko miejsca, gdzie zielona struga zwana Wierdzelewą wpadała do rzeki Wisły, stał wielki prastary dąb. Rozłożyste drzewo było siedliskiem życia. Wśród jego gałęzi swój dom zakładały ptasie rodziny, wśród liści roiło się od owadów, a u podnóża, wśród korzeni, rosły liczne gęste krzewy, skrywające rozmaite leśne zwierzęta, które czuły się bezpiecznie w cieniu ogromnego drzewa. Strugi żywej wody nawadniały okolicę, która tętniła życiem. Harmonia natury przez liczne lata nie była niczym zaburzona.

Pewnego dnia do gaju, pośrodku którego stał stary dąb, przybyli ludzie. Zakładali swoje domy i uprawiali ziemię, aby rodziła plony, owoce i grzyby. Udomowili niektóre zwierzęta, które pomagały im w codziennej pracy. W sercach nowych mieszkańców nie było jednak zachłanności. Ich osada pełna była ludzi poczciwych, którzy szanowali moc i delikatność natury. Ziemia była ich żywicielką i dobrze wiedzieli, że nie wolno im brać więcej niż to potrzebne do życia. Dąb był otoczony czcią, a najmądrzejsze osoby wśród społeczności nakazywały oddawać szacunek staremu drzewu, które górowało nad wszystkimi, wśród szumu rzeki Wisły. Za każdym razem, gdy nadchodziły uroczyste dni, w których wielowiekowa tradycja nakazywała złożyć ofiary i zaśpiewać pieśni, mieszkańcy osady prosili siły natury o łaskę życia i dziękowali za dary lasu, ziemi i rzeki.

Tego wyjątkowego dnia stary guślarz Derwan stał wśród gęstych krzewów, oparty o sękaty kostur. Poprzedniej nocy śnił niepokojące sny. Widział w nich ogień i słyszał stukot końskich kopyt. Ujrzał czcicieli nowej wiary w Chrystusa, którzy przynoszą na spokojne ziemie nowy ład, nowe zwyczaje

i czarny krzyż na białym tle. Czuł gniew natury, zakorzeniony głęboko w ziemi i wśród wód rzeki. Stał z zamkniętymi oczami i próbował przypomnieć sobie jeszcze coś z niepokojących sennych wizji. Skupił się mocno, a palce zacisnął na kosturze i nagle znów słyszał stukot kopyt. W pobliżu dębu nadjechał jeździec. Był uzbrojony, jego płaszcz nosił ślady licznych dróg, a pęciny konia pokryte były błotem. Derwan nie na to zwrócił jednak uwagi. Nieznajomy rycerz na koniu nosił charakterystyczny znak czarnego krzyża na białej tunice. Jeździec zbliżył się powoli i zdjął skórzany czepiec z głowy. Jego czarne włosy posklejane były od potu i brudu, widać było, że jechał z daleka. Nagle odezwał się do guślarza gromkim głosem.

– Witaj starcze! Czy w tym miejscu można przeprowadzić się przez rzekę? Szukamy miejsca, gdzie bród nie jest zbyt rwący, a z daleka już widać wasze sadyby, może pomożecie chrześcijanom.

– Pomożemy każdemu, kto poprosi nas o pomoc – odrzekł Derwan.
– Jednak nie radziłbym wam lekkomyślnie wchodzić do Wisły. Natura ma swoje prawa i sama zdecyduje, kto otrzyma łaskę, a kto szczególnie w odmętach. Ten gaj jest miejscem świętym. Uszanujcie je, bardzo was proszę, a otrzymacie pomoc, na jaką liczycie i będziecie mogli przeprowadzić się przez bród.

– Mylisz się starcze! – rozgniewał się Krzyżak. – Wszelka łaska pochodzi jedynie od Boga, to on jest dawcą życia i do niego należą zarówno ta rzeka, jak i ten gaj, razem z tym wielkim dębem, któremu bijecie bałwochwalcze pokłony. My jesteśmy sługami Bożymi. Dzieła Pańskie czynione są naszymi rękami. Zapamiętaj to dobrze!

Po tych słowach jeździec z czarnym krzyżem na piersi ruszył śmiało w stronę brzegu rzeki i wjechał w bród na koniu. Bez trudu przeprowadził się na drugą stronę i zadowolony powrócił, nie odzywając się już do Derwana ani słowem. Nie minęło dużo czasu, gdy w całym gaju słychać było stukot licznych koni. Ziemia dudniła od kroków, szczęku metalu i chóralnych śpie-

wów, jakie rozbrzmiewały wśród tłumu rycerzy i ich służby. Na czele jechał dumnie wyprostowany, wysoki rycerz zakonny o zimnych oczach. Wzrok miał wbity w potężne drzewo stojące na środku niewielkiej polany. Derwan zbiegł w krzaki zaniepokojony. Chciał ostrzec pozostałych. Do osady przybyli Krzyżacy.

Mieszkańcy bali się nowych przybyszów, którzy rozbili białe namioty z czarnymi krzyżami wokół polany. Nikt nie odważył się zbliżyć choćby na krok. Pewnego ranka Derwan usłyszał głuchoe uderzenia siekier. Gdy zbliżył się do dębu, ze zgrozą spostrzegł, że drzewa rosnące wokół są ścinane, a Krzyżacy i ich słudzy tworzą z nich drewnianą palisadę, pośrodku której stało święte drzewo. Ukochane miejsce, tak spokojne i gościnne dla mieszkańców osady, stało się warownią otoczoną zrobionym ze ściętych drzew murem. Prastary konar stał teraz jak więzień pośród stukotu siekier, szczęku metalu i pokrzykiwań rycerzy. Na wysokim drzewie pojawiły się stanowiska wartowników i wieże strażnicze, na których krzyżacy żołnierze pełnili służbę. Każdego dnia do nowo utworzonej wokół dębu warowni przybywali nowi jeźdźcy i wozy z dobytkiem. Krzyżacy nadali nowej warowni nazwę Toruń. Święty gaj zmienił się nie do poznania.

Derwan zebrał w sobie odwagę i zbliżył się do dowodzącego rycerzami.

– Panie, wysłuchaj mnie, źle czynicie, naruszając spokój tego miejsca. Narażacie siebie i nas na gniew natury. Ścinając drzewa i karczując krzewy, igracie z siłami, których nie rozumiecie. Żaden z ludzi nie zdoła podporządkować sobie ziemi.

Krzyżak odpowiedział.

– To ty nie rozumiesz naszych działań, starcze. Twój czas już minął, a te ziemie należą teraz do zakonu. Odejdź więc i nie wystawiaj na próbę mojej cierpliwości.

Derwan oddalił się, ale wśród szumu starego dębu usłyszał złowrogie szelest. Ostrzeżenie zostało przekazane. Wybór należał teraz do rycerzy zakonu i ich popleczników.

Minęło wiele dni, a warownia była coraz większa. Derwan usłyszał głosy ludzi pracujących przy rzece. Ładowali oni kamienie na wozy. Ogołocali dno rzeki, wybierając te największe, aby mozolnie układać je w stosy, które wozili w stronę palisady. Guślarz stanął przy brzegu i zapytał.

– Dlaczego zabieracie te kamienie? One należą do rzeki, nie wolno wam zaburzać spokoju Wisły. Lepiej oddalcie się stąd, czym prędzej. Rzeka ma mniej cierpliwości niż las, który zniszczyliście siekierami.

Jeden z pracujących odpowiedział mu.

– Rycerze kazali nam zebrać, ile się da, posłużyć za budulec. Postawimy w pobliżu dębu kaplicę, w której nawet i wy będziecie mogli się modlić.

– Nie potrzeba mi żadnych budowli, by się modlić, wystarczy spokój natury i otwarte niebo. Narażacie się na gniew rzeki, po raz kolejny ostrzegam, nie powinno was tu być.

Derwan wypowiadając te słowa, słyszał wśród plusku fal niepokojące szумы. Kolejne ostrzeżenie dotarło do przybyszów. Oddalił się więc, by poszukać dowódcę rycerzy, aby i on mógł wysłuchać jego rady. Ten jednak nie chciał go słuchać. Groził mu nawet, że jeśli będzie trzeba, zaciągną do pracy mieszkańców osady. Uszy Krzyżaka pozostawały głuche na prośby Derwana, a jego serce niewzruszone. Liście starego dębu szumiały coraz głośniejszy, zrywał się wiatr. Zanosił się na burzę.

Pewnego ranka, gdy Derwan szedł w stronę dębu, minęła go grupa konnych, obładowana upolowaną zwierzyną. Martwe zwierzęta przewieszane przez siodła i przewiązane rzemieniami, wzbudziły gniew i smutek starego guślarza. Rozżalony udał się wprost do obozu rycerzy.

– Dlaczego zabijacie mieszkańców lasu, czemu tak wiele zwierząt padło z waszej winy? – krzyczał Derwan. – Opamiętajcie się, ludzie, nie możecie wciąż tylko brać z natury, nie dając nic w zamian!

Rycerze jednak nie słuchali guślarza i nie zwracali na niego uwagi, ich noże cięły skórę upolowanej zwierzyny, oddzielając ją od ciała. Jedna z kropel krwi upadła na korzeń dębu. Derwan poczuł w sercu dziwne drżenie, lecz już za chwilę drżała cała ziemia. Nie tylko pod stopami guślarza. W całym obozie słychać było zaniepokojone okrzyki. Od strony rzeki biegł przerażony robotnik.

– Mój panie! – krzyczał głośno. – Rzeka zabrała nasze łodzie, nurt silny jak nigdy dotąd. Wisła zwróciła ku nam swój bieg. Ratujcie, co się da! Za chwilę zaleje wszystko!

Derwan nie czekał ani chwili. Wspiął się na drzewo i patrzył, jak rycerze uciekają w popłochu, zostawiając swój dobytek na pastwę rwącej rzeki. Ich namioty w parę chwil porwał dziki nurt. Dumnie wzniesiona palisada też nie stała długo, drewniane pale chwiały się jeden za drugim, by się przewrócić i razem z biegiem rzeki płynąć w stronę przestraszonych Krzyżaków. Do wieczora rzeka zmyła niemal wszystko. Warowny obóz pozostał już tylko wspomnieniem. Dumni rycerze zakonu musieli się udać w górę rzeki i na wzniesieniu założyli nowy Toruń, który stoi tam do dziś. Zaś Derwan i mieszkańcy osady przez lata pamiętali, jak Wisła wygoniła Krzyżaków na wzgórze, i opowiadali najmłodszym o tym, że w walce z siłami natury człowiek nigdy nie wygra.

Dorota Lizurej**O trąbce Michała Archanioła, która za jednym razem
serce i kamienicę skruszyła**

Wiktor chciał przywitać rok tysiąc dziewięćset jedenasty dość osobliwym wjazdem do Torunia. Płozy powozu z impetem wjechały na oblodzoną taflę Wisły. Młodzian nie żałował ani siebie, ani konia, nie czuł też strachu przed lodowatą kąpielą. Ot, fantazja ułańska, połączona z brakiem wyobraźni i rozumu, będąca przywarą niejednego chłopca wierzącego, że każdy jest śmiertelny, z wyjątkiem jego samego.

Koń najwyraźniej wyczuł zagrożenie, bo wydał chrapy, dosłownie stanął dęba i, pomimo batów wymierzanych przez pana, nie zrobił już ani kroku w przód. Złajał go młody mężczyzna, zbeształ plugawymi słowami, z uprząży uwolnił i puścił dosłownie w siną dal. Rad nierad, że jedyne kompana stracił, zdjął z powozu niewielki kufer zawierający skromny majątek jego życia i, przy akompaniamencie budzących się głośnym krzykiem wron i kruków, ruszył przez rzeczny lód.

Spojrzał jeszcze na miasto, które wydało mu się niby blisko, a jednak daleko. Posiwiące niebo łączyło się z brudną czerwienią ceglastej zabudowy, a nad nią chmara czarnych skrzydeł miejskiego ptactwa żerującego na odpadkach ludzkiego miłosierdzia. Biała szata śniegu zalegająca pod murami, na polach, na lustrze skostniałej rzeki, rozjaśniała dopiero co budzący się świt. Jakże imponujący wydał się Wiktorowi ten widok rodzinnego miasta, które opasane gotyckim murem broniło do siebie dostępu. Poczuł ogromną tęsknotę za dobrze sobie znanymi uliczkami, za Starówką i ratuszem, za kamienicami doskonale ukrytymi w miejskiej zabudowie i strzeżonymi przed ludzkim okiem. Za to katedra Świętych Janów górowała nad miastem swoim majestatem, a potęgą ogarniała jego żywy inwentarz. Aż w oczach się dwoiło

od tych wież i wieżyczek kościelnych, od bram czerwonych prowadzących do serca grodu. A przed nimi wszystkimi pas żurawi w porcie i tu statek, tam stateczek uśpiony w srogich lodach rzeki, tam barka znowu. Tak zupełnie jak niegdyś, za dzieciństwa. Wgapiał się Wiktor jak urzeczony w zaspane jeszcze miasto; choć już dzwony kościelne groźnie przypominały o pierwszych w tym roku nabożeństwach, a ponad nimi tubalny odgłos dzwonu Tuba Dei, górujący nad wszystkim innym potęgą kilkutonowego kolosa, osadzonego w bryle imponującej katedry. Zarówno katolicy, jak i protestanci, jeszcze na wpół senni, zwlekali się z aksamitnych łóżek, z sienników kłujących, z twar-
dych pryczy; i nieważne, jak kto był bogaty, a jak biedny, jak dobrą lub złą miał naturę, jak święty był lub grzeszny, tak każdy z niechęcią i oporem zamieniał ciepło domowych pieleszy na mroźny, zimowy świt.

Wiktor wyobraził sobie tę scenę, tę mozaikę torunian: mężczyzn eleganckich w najlepszych garniturach i kobiet w kapeluszach wielkich jak koła powozu. Zobaczył w swoich wspomnieniach rybaków w porcie, sklepikarzy nawołujących klientelę i żebraków wyciągających ręce za groszem miłosierdzia. Takie pamiętał to wszystko, gdy będąc chłopcem, przemierzał z dziećmi kompanami nadwiślańskie brzegi i toruńskie przedmieścia epoki *fin de siècle*.

Nagle noga mocniej stąpnęła i woda napełniła trzewik. Mokro. Zimno. Lodowato. Szkoda byłoby zakończyć życie, gdy ono dopiero się zaczyna. Tyle lat praktykowania w norymberskich piekarniach, tyle trudu, by ulepszyć chlebowy i piernikowy interes. Chłopak poczuł w nozdrzach wyraźną woń przypraw korzennych, gdzie imbir przeplatał się z odrobiną cynamonu, a po chwili ustąpił miejsca mieszaninie kardamonu z gałką muszkatołową. Wreszcie w tej plątaninie przeróżnych zapachów na sam przód wysunęła się woń płynnego miodu i... nagle odczuł Wiktor potężną i nieodpartą chęć na kęs rodzimego piernika. Ach, miałby życzenie swojej wybrance niejedną katarzynkę ofiarować jako dowód najgłębszego uczucia. Chciałby też uciech ży-

cia posmakować, a tu lód skruszały i woda przerażająca potęgą, i strach, że jednak się umiera. Dłonie wołały o ratunek, próbowały chwycić się czegoś, płuca łaknęły oddechu, ciało zamieniające się w bryłę lodu traciło siły na dobre. Ostatnim pragnieniem życia złapał się chłopak lodowej kry, z wody się wykaraskał. Patrzyły wrony i kruki sępimi oczami, mając nadzieję, że dopadną ofiarę rzecznej otchłani.

– Precz! Precz mi stąd, czarne bestie! – Odganiał ptasie hieny, wymachując rękami.

Czuł, jakby serce wewnątrz mu zamarzało, jakby traciło siłę bicia, zupełnie jak zegar zwalniający zębatkę czasu. Nareszcie ostatkami sił dotarł do brzegu i stanął u Bramy Żeglarskiej; dzień już rozjaśnił ulice, już można było poznać twarze nielicznych przechodniów, kobietom ukraść spojrzenie, obrzucić pragnieniem pocałunku, już można było obrzydliwie bogatym starcom w twarz krzyknąć niemym głosem, że kupują sobie panny piękne, powabne i nabożne. Ach, gdyby nie to zmrożone ciało, które na bruk runęło z impetem! Niektórzy przechodnie poznali po rysach twarzy, czyj to syn pierworodny, z mozołem na ulicę Piekary zawlekli prawie już umarłe ciało. Alarm podnieśli, po ojca Wiktora, po matkę na piętro kamienicy pobiegli, dobijali się do ich ciepłego gniazda mocnymi uderzeniami pięści. Wnieśli do domu wszyscy razem prawie już umarlaka, ledwo dychającego, w przedśmiertnych majakach. Rzucili na łóżko w na wpół mokrym ubraniu. Zdjęła matka ciężki kożuch, rozwiązała czarną kokardę przy kołnierzu, koszulę zdjął ojciec, siłując się ze skostniałym ciałem. Służba ogień rozpałała; buchnęły w piecu piekielne płomienie, aż gorąc taka się zrobiła, że ledwo można było tchu złapać. Zawezwano lekarza, nie bacząc na wczesną porę, a ten po przyjeździe ledwo co na potencjalnego nieboszczyka wejrzał i zaraz nakazał zająć się pogrzebem, a nade wszystko nalegał na księdza z ostatnim namaszczeniem. Matka w lament wpadła nad losem jedyne dziecko, a po chwili po wszystkich ką-

tach rozległy się to raz głośne, to znowu ciche pacierze, płacząc w sobie i polskie i niemieckie słowa.

A Wiktor z przymkniętymi powiekami i duszą zawieszoną pomiędzy światami w najlepsze biegał po Starówce: to wgramolił się na pomnik Mikołaja Kopernika, by mu na uszy naciągnąć wełnianą czapkę, a szyję obwiązać skradzionym, matczynym szalem; to znowu z chłopakami ryby łowił na Kępie Bazarowej, gdzie jesiony przeplatały się ze srebrem olch, a wiązy rozkładały szerokie ramiona w jakiś nieokreślonych wygibasach przewrotnej natury. Po piwnicach zamku dybowskiego buszował w nadziei, że trafi na ślad królewskich klejnotów, a w ruinach siedziby krzyżackiej szukał prawdziwej historii w gotyckich ceglach. W zborze mennonitów psalmy śpiewał z takim zapałem, że chwila jeszcze, a sam zostałby konwertytą. W gospodzie na Rybakach zajadał się najwyśmienitszą zupą z raków. A gdzieżby nie był ten młokos, ten duch niespokojny! W porcie drzewnym z flisakami robił interesy i z ukrycia przyglądał się, jak w gospodzie na rynku płacili frycowe. Pomiedzy placami ładunkowymi a magazynami szwendał się w wolnych chwilach, podglądał, jak cała żegluga tętniła życiem, jak tryskała handlem, jak mężczyźni silni niczym dęby ładowali towar na zwaliste wagony. Gonił między bocznicami kolejowymi, przedrzeźniał żurawie portowe i pusząc się, naśladował ich potęgę. Oj, trudno było Wiktora do domu zagonić, choć ojciec nie raz z dyscypliną ganiał za nim po nadbrzeżu portowym, i nie raz, nie dwa skórę mu złożył za niesubordynację. Cóż jednak poradzić miał, gdy od pieczenia codziennego chleba wołał go jeść? Cóż poradzić mógł na to, że nie garnął się do rodzinnego interesu, że pachnące bułki i pierniki nie były jego miłością? Aż zniecierpliwiony ojciec wszystkie swoje oszczędności poświęcił i na nauki zagraniczne go posłał, żeby nie tylko rozumu nabrał, ale także nabył miłości do piernika.

Gdy Wiktor tak hasał jak zajęc po polach szczęśliwego dzieciństwa, matka cały czas modlitwy do Boga zanosila o jego powrót do życia. Nie wie-

działa, że syn jej w majakach zamienił port wiślany na rozległy park Bydgoskiego Przedmieścia, by po chwili w restauracji Gustava Behrenda, wśród niezliczonej ilości stolików, delectować się jego ulubionym sorbetem. I choć za oknem zima i ciało zmrożone prawie na kość, chłopak w nozdrzach poczuł zapach wiosny. To zaczynało się życie!

Ale chłopak ani myślał do żywych wracać. Tak mu się bieganie po rodzimym mieście spodobало, że nawet powiek nie otworzył. Trwał tak chwilę jakąś, aż nagły huk trąby wzruszył jego ciało. Jakieś nieodgadnione konwulsje przeszły przez jego ręce, nogi, coś nagłego wstrząsnęło ciałem, dotknęło serca. Jak leżał, tak usiadł w jednym momencie, ku zdumieniu matki, ojca i całej służby.

– Co to tak trąbi? – poruszyły się jego sine usta.

Rozejrzeli się wszyscy dookoła, a nie widząc nikogo ponad domowników i nie słysząc żadnego trąbienia, poczytali jego słuchowe omamy jako znak ożywionego, lecz niezdrowego jeszcze ciała. Kazała mu matka dużo wypoczywać. Służbie poleciła nagotować pożywne rosoły, a sama z małżonkiem pobiegła do świątyni: każdy do swojej, lecz każdy temu samemu Bogu dziękował.

Szybko wrócił chłopak do sił i zdrowia, chęci do życia nabrał jak nigdy przedtem. Przy robocie kręcił się aż miło; na dół do piekarni pana Sztuczko już skoro świt biegł, by pierwszemu chleb wypiekać i nadawać fantastyczne kształty ciastu na pierniki. Piernikowi rycerze, mieszczanie i patrycjusze swoim aromatem wypełniali cały rynek i poboczne uliczki, a lekki wiatr kładł pierny zapach aż nad Wisłę i dalej jeszcze na wszystkie strony świata. I nie było pośród tych delicji nikogo wyżej ani niżej; tak samo piernikowe pospólstwo, jak i rycerstwo czekało na złaknionych smakoszy, którzy smakując wypieków w różnej formie, doznawali nieznanych w innych miastach podniebiennych rozkoszy.

Aż przyszła wyczekiwana przez wszystkich wiosna! Nagle i bez uprzedzenia, bez przedwiośnia i błota, z obfitymi pąkami na drzewach, z ptactwem głośnym wyprawiającym wiosenne trele, ze słońcem tak żółtą barwą rozdmuchanym, że sami impresjoniści mogliby pozazdrościć naturze takiego pędzla. Pełna ciepła, słońca i... powiewu pierwszej miłości.

Wiktor akurat siedział w oknie wychodzącym na plac Bankowy. Lubiał patrzeć na życie miasta odgródzone pasmem kamienic, które zazdrośnie strzegły przejścia na Bydgoskie Przedmieście. Uwielbiał przypatrywać się przechodniom – tym mężczyznom życiem utrudzonym i kobietom z koszykami wypełnionymi warzywnymi delikatesami. Z premedytacją wgapiał się na wyzwolone gorsety i łaknął ust ukrytych pod wielobarwnym ogrodem kapeluszy. Obejmował spojrzeniem kształtne biodra zakończone talią osy i stopy niechcący a bezwstydnie pokazane światu. I właśnie tam, pośród innych tysięcy, dojrzał ją...

Eleonora – daleka krewna Alberta Lohmeyera, bogatego miejscowego fabrykanta i zasłużonego dla miasta obywatela – była połączeniem wszystkiego, co posiadało cechy doskonałego piękna: miała w sobie giętkość łodygi, dumę barwnego pawia, smukłość łabędzicy i lekkość motyla. Obcisła na biodrach spódnica podkreślała kobiecie wdzięki, a rozszerzając się ku dołowi niczym pochylony kielich lilii, kończyła swą wędrówkę rozłożystym trenem. Jej tkanina lekko muśnięta błękitem doskonale komponowała się z bielą bluzki, której bufiaste rękawy ukrywały dobrze zbudowane ramiona. Góra zakończona wysokim kołnierzykiem niczym grecka kolumna zwieńczona była twarzą o olśniewających rysach. Leciuchny woal olbrzymiego kapelusza bronił dostępu do żreń. Jedynie usta malinowe i uróżowione policzki dopuszczały do siebie cudze spojrzenia, powodując zazdrość kobiet, a pożądanie mężczyzn, którzy z zachwytem łaknęli piękna w czystej formie, jaką była.

I Wiktor nie pozostawał nieczuły na jej wdzięki, choć dojrzał je z pewnej odległości, niemal wypadając z okna wysokiej kamienicy – takie na nim

zrobiło wrażenie pojawienie się tego zjawiskowego piękna. Jak niczego innego na świecie zapragnął usłyszeć jej głos, posmakować ust, skraść duszę i serce. Tak całe dwa dni spędził w oknie, wymawiając się przed ojcem i matką nagłą chorobą. Wreszcie doczekał się! Spostrzegł swojego barwnego pawia z wielkim pióropuszem miękko układającym się na wietrze. Wybiegł z kamienicy jak oszalały. Pomstował na wszystkie świętości, że biec musiał aż do Bramy Starotoruńskiej, by dostać się na plac Bankowy, gdzie miłość jego życia zażywała popołudniowego spaceru. Niestety, zupełnie jakby rozwiała się w majowych promieniach słońca! Miał jednak nadzieję, że następnym razem nie tak szybko umknie mu zwierzyna. Dzień później, gdy tylko z okna dojrzał damę, dał parę groszy umyślnemu i wręczył mu liścik, w którym wcześniej naskrobał kilka słów prosto od serca, zapewniając ukochaną o swoim gorącym uczuciu do niej.

Ona, gdy tylko list otrzymała, dotknęła opuszkami palców swoich różanych ust i kładąc pocałunek na jedwabnych rękawiczkach, zdało się, że pośle zadurzonemu w niej młodzieńcowi delikatnego całusa, którego on w oknie przechwyci i do serca przytuli. Nic bardziej mylnego! Słodkie cmoknięcie powędrowało, lecz do innego mężczyzny, który w powozie siedząc, triumfalnie wpatrywał się w kobietę i bezczelnym wzrokiem krzyczał, że jest w posiadaniu połowy tego miasta, a zdobycie Eleonory jest tylko kwestią nie czasu nawet, ale pieniędzy. Znienawidził Wiktor jego cyniczne spojrzenie, sam mając serce szczere i szczere wobec damy zamiary.

Für Männer bin ich die schönste Frau der Welt, für Sie nur die schönste Einwohnerin Thorns – przeczytał po niemiecku odpowiedź od swej ukochanej, domyślając się, że albo słabo zna polski, albo też nie jest biegła w pisaniu. Znał przecież mieszkających tu ludzi, którzy w różnym stopniu posługiwali się zarówno niemieckim, jak i polskim językiem, co wynikało ze wspólnych interesów, sąsiedztwa i konieczności porozumiewania się bez względu na poglądy, religię i osobiste relacje. Tak więc oba języki mieszały się ze

sobą, a w różnych częściach miasta dominował raz jeden, raz drugi, albo słowa przeplatały się ze sobą w jakiś spontaniczny i naturalny sposób. Pomyślał jeszcze Wiktor o tym, że język miłości jest uniwersalny i posiada swój własny kod: wystarczy gest drobny, grymas twarzy, trzepot rzęs i jedno spojrzenie, by zrozumieć wszystko.

Dla wielu jestem najpiękniejszą kobietą świata, dla pana tylko najpiękniejszą torunianką. Młodzieniec tłumaczył w myślach te słowa, patrząc na nie półprzytomnym wzrokiem. Tłumaczył raz, drugi, dziesiąty, niepewny, czy dobrze zrozumiał, a przy każdym kolejnym twarz jego zalewała się purpurą, gdy zdał sobie sprawę, jaką gafę strzelił. Jak mógł o tym nie pomyśleć, że ona młoda, piękna, bogactwem zepsuta, w próżności swojej policzy mu to za afront, że nie jest dla niego tą najpiękniejszą w świecie? Czy nietakt ten aż tak ją dotknął, by mu przewinienia tego nie darowała?

Oderwał oczy od słów, które ślicznym pismem zapisane zajmowały pachnący perfumami liścik i wychylił się przez okno, by wzrokiem odszukać wybrankę swego serca. Niestety, choć jeszcze chwilę temu obejmował spojrzeniem jej wielki, kwiatowy kapelusz, to teraz nikł on w oddali, stając się coraz to mniejszym, znikającym punkcikiem. Rzucił się chłopak do drzwi, jakby był w gorączce. Minął sień wielką, w oczy spojrzał na krzyżu wiszącemu Chrystusowi, Matkę Boską minął w szaleńczym pędzie, ledwo zauważył Świętego Jana, a wszyscy na ściennych malowidłach, jak żywi, od wieków trwający niezmiennie w tym samym miejscu bez względu na wszystko, co działo się wokoło. Spróchniałymi schodami wbiegł na dach kamienicy, by wysłedzić ukochaną, lecz wszystko na próżno! Także tym razem uciekła mu dziewczyna. Szukał jeszcze jej wzrokiem, sokolim okiem wypatrywał, lecz na nic... Za to jego oczom ukazał się imponujący widok rynku niemal z lotu ptaka. Z nieopisanym zdumieniem patrzył na ludzi uwijających się przy Ratuszu Staromiejskim, na uliczki pulsujące mieszczańskim gwarem, na wypiętrzone kamienice, dumnie prężące się roślinne ornamenty i na alegoryczne

postaci będące zdobieniami, jakie tylko w Niderlandach i Włoszech napotkać można. Wzrokiem objął strzelisty Dwór Artusa z konsolami nadwieszanych wieżyczek, z przeróżnymi stylami tak kunsztownie w jedną bryłę zamkniętymi, że aż dziw brał, że można było nowej budowli nadać tak imponująco ukształtowaną formę. Dostrzegł jeszcze Wiktor na niebiesko przybranego anioła w rękach przytrzymującego tarczę herbową z trzema czerwonymi basztami przy miejskich murach, a w dłoni klucz złoty do bram grodu.

Po chwili chłopak wzrok przerzucił na drugą stronę miasta. Jest! Znalazł ją! Wypatrzył swojego pięknego motyla! Wielkie rondo kapelusza płynnie podążało w kierunku ulicy Mickiewicza, którą z niemiecka nazywano Mellienstrasse. Jednak po chwili zniknęło, zgrabnie wkomponowane w kwiatowe girlandy kawiarnianych ogródków.

– A niech to! – syknął zezłoszczony i nagle stopa przez nieostrożność ześliznęła mu się z dachu. Zsunął się chłopak całym ciałem, w ostatnim momencie chwytając się bosych nóg Michała Archanioła – od wielu lat trzymającego wartę na samym szczycie kamienicy. Nie lada wysiłkiem wgramolił się z powrotem na szczyt i westchnął ciężko:

– Ach... Michale... Pokochałem kobietę piękną a niedostępną, za którą biegam, a dogonić nie mogę. Raz pojawia się na Starym Rynku, raz znowu na przedmieściach. Ach, przeklęte kamienice! Zamykają drogę do miłosnych schadzek! Nie masz innej drogi jak wokół biec zdyszany.

– A jeśli to nie jest miłość? Jeśli to tylko złudzenie? Jeśli tylko wydaje się, że ją kochasz, a nie kochasz wcale? – Pytania wychodzące z głębi jego serca ulatywały ponad miasto i jak ptaki na niebie osiadały na spadzistych, barokowych dachach.

Znowu spojrzał na dół: na organizm żywy, jakim było to pulsujące miasto, na wieże kościelne z dumą ku niebu wynoszące olbrzymie dzwony, na tramwaje konne i elektryczne sunące po bruku malowniczych uliczek.

– Pewien jestem swojej miłości! Bodajbym jak ten koń tramwajowy za karę musiał ciągnąć ciężar swojego kłamstwa, jeśli prawdy nie mówię! I żeby nigdy ręce moje już chleba nie wypiekły, ciasta piernikowego nie wyrobiły. Oby tylko Eleonora pokochać mnie chciała! – powiedział z nadzieją w głosie i pomyślał o tym, że daleko mu do rodów Eskenów, Preussów czy Strobandów i równać się nie mógł ani z nimi, ani z wieloma innymi, sam nie mając w sobie choć kropli szlacheckiej krwi. Ale jednak zdobywając gruntowne wykształcenie, powoli piąć się będzie po szczeblach społecznej drabiny. Czy jednak to nie jest zbyt mało i wciąż za mało dla krewnej przedsiębiorcy, którą los umieścił wyżej tylko dlatego, że kołysano ją w bogatszej niż jego kołysce?

– Tak mi Bóg dopomóż! – zawołał na cztery strony świata, a wszystko dookoła było świadkiem tego przyrzeczenia.

Zaledwie przeminęły te pełne powagi słowa, lekko drgnął Michał Archanioł, ożywiła się jego barokowa figura, zatrzepotał skrzydłami i z taką siłą w trąbkę zadął, aż mu purpura na twarzy wystąpiła, a nadęte do granic możliwości policzki niemal pękły od nadmiaru wtłoczonego powietrza.

Wiktor otworzył usta w zdumieniu, całe miasto zamarło w zupełnym bezruchu, a ludzie oddech wstrzymali z przerażenia, słysząc potężny odgłos instrumentu. Konie stanęły nagle z powozami, bryczkami i wozami tramwajowymi, a jeden z wagonów prowadzony po torach elektrycznością wypadł z szyn, zupełnie jakby wybuch prochu zmiotł go z torowiska. Po chwili Tuba Dei rozbujany siłą niespotykanych wibracji rozkołysał się tak bardzo, że wyszedł z niego odgłos tak potężny, aż ludzie uszy zatykali z bólu. Podobnie inne kościelne dzwony u Świętego Jakuba, Świętego Ducha i Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny uwolniły ze swoich wnętrz potężne brzmienie i teraz już całe Stare Miasto grzmiało od ich oszalałych tonów, które to zamiast współgrać ze sobą w pobożnym nawoływaniu wiernych, rozbijały się o piętrowe kamienice. Trwało to wszystko do tej chwili, aż trębacz niebiański,

wyczerpany nadludzkim wysiłkiem, oderwał usta od ustnika trąbki. Powoli wyciszyła się Trąba Boża w bazylice katedralnej, za nią pozostałe dzwonnice uśpiły w sobie dźwięki rozhulanych do tej pory stalowych serc. W tym momencie jakby całe miasto zadrżało, przekazując swój strach wszystkiemu, co żywe. Nagle popękały ściany na parterze kamienicy, nad którą górowały anielskie skrzydła Michała Archanioła. W niektórych miejscach tynk spadł, a kawałki gruzu posypały się na kocie łby ulicy. Czas jakiś upłynął, zanim miasto otrząsnęło się z niespotykanych dotąd turbulencji. Każdy z największą ostrożnością powolne kroki dawał w obawie, czy znowu nie zadrży ziemia. W dolnych partiach kamienicy, gdzie działała piekarnia Sztuczko, utworzył się na wylot otwór tak wielki, że z powodzeniem bryczka mogła przejechać z jednej części miasta na drugą. Mieszczanie po obu stronach budynku z zaciekawieniem zerkali na siebie przez olbrzymie przebicie w ścianach. Zarówno jednym, jak i drugim spодobało się to niespodziewane i w czasie, i w formie spotkanie.

Gdy Wiktor sprytnie ześlizgnął się ze stóp Michała Archanioła, ze zdumieniem spojrzał na ten niszczycielski akt tworzenia. Matka z ojcem pełni strachu zbiegli jakimś cudem nienaruszonymi schodami na ulicę i na kolana padli, dziękując Bogu za to, że nikt z domowników i postronnych nie ucierpiał żadnej szkody. Szczęśliwie w piekarni nie było nikogo, gdyż w tym czasie piekarze chleby pachnące na wóz w skrzynie ładowali. Włodarze miasta zaraz pod kamienicę przybiegli w wielkim pośpiechu, dzień cały nad sprawą chodzili, głowami kręcili, wymieniali między sobą uwagi, spierali się, aż wreszcie uradzili, że całkowicie trzeba przebić już i tak zniszczony parter, co ułatwić miało mieszkańcom przemieszczanie się ze Starego Miasta do jego zachodniej części i odwrotnie. Zafrapowani myśleli, jakiego by tu radcę budowlanego do tak poważnej roboty nająć. Wreszcie padł wybór na Karla Cacesara – doskonałego berlińskiego architekta, który podejmując się dzieła, miał nie lada gratkę i utworzył dzieło praktyczne nie tylko dla jemu współ-

czesnych, ale także dla następnych pokoleń. Gdy bowiem w wielu średnio-wiecznych miastach bramy rozbierano, on właśnie taką tworzył ku uciechu mieszczańskiej gawiedzi.

Uszczęśliwiony był Wiktor takim stanem rzeczy; gdy tylko łuk powstał, mógł swoją Eleonorę prędko dogonić, gdziekolwiek by się nie pojawiła w okolicach Starówki. Tak dnia któregoś przyuważył ją na Przedmieściu Portowym, jak ze służącymi ryby kupowała, jak zgrabnym paluszkami kapryśnie przebierała, jak grymasem twarzy nieszczególne sztuki odrzucała lub zakup finalizowała. Wreszcie po pół godzinie bryczką odjechała w stronę willi przy Bydgoskiej, gdzie tymczasowo u krewnych zamieszkiwała. Tam zostawiła swoje towarzyszek, a sama ruszyła do restauracji Esylum, w której czas sobie umilała, popijając mokkę i zając się racuchami z syropem, a wszystko to przy akompaniamencie fortepianu. Rozplątały się palce dłoni panny ślicznej i młodziutkiej siedzącej przy ogromnym instrumencie, rozgrzały się zastygłe klawisze, uderzyły z taką siłą, aż się sędziwi goście w fotelach z drzemki wyrwali, a pruscy żołnierze, których całe mnóstwo w Toruniu stacjonowało, niemal na baczność stanęli.

Wiktor tymczasem żwawo przemierzał Bydgoskie Przedmieście, uśmiechając się oczami do pań ślicznych i młodych, do ich warkoczy wiatrem poplątanych, do ust chichotem rozbrykanych. A tak mu się wszystko naokoło inne wydało, że pierwszą w sercu poczuł niepewność co do swojej miłości. Wreszcie stanął na progu restauracji – onieśmielony i jakby niepewny trochę. Zebrał w sobie wszystkie siły, by podejść do ukochanej, by w twarz jej rzucić zapewnienie o głębokim uczuciu. Ta uniosła delikatnym ruchem woalkę kapelusza, spojrzała na niego z utęsknieniem, jakby czas długi na niego czekała.

– Pani... – ledwo wyszeptał. Z wrażenia aż mowę mu odjęło.

Ona tylko zatrzepotała czarnymi rękami i uśmiechając się, lekko skinęła głową, dając mu znak, by usiadł obok. Już miał przyjąć propozycję, już

ruch wykonał, by zająć miejsce, w ostatniej chwili zawahał się jednak. „Czyż nie uganiałeś się za łanią, głupcze?! – karmił się w duchu. – Czy nie tej kobiety pragnąłeś?!”

W jednym momencie zdał sobie sprawę, że jednak nie; że pani ta ani taka piękna, ani młoda, jak mu się z daleka zdawało. Tak naprawdę to wołał wciąż gonić zwierzynę, bo tylko wtedy miłość miała dla niego sens. Chciał znowu za nią tęsknić, uganiać się jak sztubak, chciałby ją prawie mieć, lecz nie dogonić wcale.

– Przepraszam, pomyliłem... stoliki – wycedził zmieszany, a gdy patrzyła na niego bez zrozumienia, to samo powtórzył po niemiecku, po czym skłonił głowę i jak młokos uciekł.

Szedł krokiem spieszonym, niemal biegł, by jak najszybciej skryć się przed wzrokiem Eleonory, by jej serce skruszone dźwiękiem trąbki Archanioła nie dosięgło jego nagłego tchórzostwa.

Wrócił do domu w wielkim pośpiechu, rozedrgany cały, na łóżko się rzucił, nawet butów nie zdejmując. Drżał na samą myśl o tym, że mógłby się w związek wplątać z kobietą, co do której miłość jego okazała się tylko złudzeniem. Nikogo na oczy widzieć nie chciał, nawet kolacji nie ruszył, tak podekscytowany był dzisiejszym aktem tchórzostwa albo może... odwagi. Niepomny tego, że się przed Michałem Archaniołem zaklinał o swojej szczerzej miłości, że na cztery strony świata obwieszczał swe uczucie, zasnął snem głębokim. Spałby tak może nawet do południa następnego dnia, gdyby nie zaniepokojona służba, która robiąc w izbie obok porządku, usłyszała dziwne końskie rżenie. Zamknięte na skobel drzwi wyważono z niemałym wysiłkiem, a gdy już wszyscy w progu stanęli, ich oczom ukazał się koński łeb i wielkie, przerażone oczy. Każdy zachodził w głowę, skąd zwierzę się tu znalazło, kto i jakim sposobem wprowadził je na piętro. Padły zaraz podejrzenia na Wiktora, który nieraz już przeróżne żarty czynił i znany był z najśmielszych pomysłów. Koń tymczasem podenerwowany parskał, wierzgał

i rżał, jakby chciał coś ważnego opowiedzieć. Cóż, kiedy nikt tego nie rozumiał, nie domyślając się nawet, że w osobie zwierzęcia ukrywa się nikt inny jak sam Wiktor przez swoje krzywoprzysięstwo srogo ukarany. Sprowadzono zwierzę z pierwszej kondygnacji z wielką ostrożnością, żeby podłogi nie zarwało i nie połamało sobie nóg. Jednak koń z nieprawdopodobną znajomością rzeczy zszedł ze schodów, jakby w życiu nic innego nie robił.

Dziwiono się tylko nagłemu zniknięciu młodzieńca, a rozpacz matki i ojca za jedynym synem prędko przydała im zgryzot i choroby tak ciężkiej, że w niedługi czas później oboje pożegnali zarówno ziemskie troski, jak i uciechy.

Przypomniawszy sobie Wiktor o przysiędze złożonej przed Michałem Archaniołem. Zaprzężony do wagonu tramwajowego karę swą znosił do czasu, aż tramwaje elektryczne na dobre wyparły konne powozy. Przejeżdżając codziennie pod łukiem swojej dawnej kamienicy, z utęsknieniem i łzą w oku spoglądał na okna mieszkania. Choć piekarnia pana Sztuczko w tym miejscu już nie istniała, jednak on czuł w końskich nozdrzach zapach pajdy świeżuchnego chleba i korzennych pierników. Z klapkami na oczach posuwał się wciąż tą samą trasą: z Bydgoskiego Przedmieścia, przez Rynek Staromiejski, aż do Dworca Miasto. Codziennie to samo: w upał, deszcz, mróz czy śnieg. Jedynych chwil odpoczynku zażywał w wozowni i stajni przy ulicy Sienkiewicza. Tam mógł rozmyślać i żałować pochopnej obietnicy, mając na względzie ogromną wagę wypowiedzianych słów.

Razu jednego, gdy ludzi zabierał z Bydgoskiego Przedmieścia z przystanku przy drewnianym grzybku, usłyszał, jak między sobą mówili, że piękna Eleonora z Torunia wyjechała już na zawsze, że podobno najpierw gardziła miłością skromnego chłopca, a później, gdy odwzajemniła jego uczucia, on odrzucił jej. I nikt już nie rozumiał, o co tak naprawdę w tej miłości chodziło, i czy była to miłość, czy tylko złudzenie. „Najpierw byłem upartym osłem,

a teraz jestem konnym tragarzem! I na cóż to rzucałem słowa na wiatr? – podsumował w myśli Wiktor, słuchając opowieści pasażerów.

Nagle dał się słyszeć dźwięk dzwonków u wagonu dających sygnał odjazdu. Z głębi miasta rozległ się donośny odgłos dzwonu katedry świętojańskiej. Ruszył konny tramwaj w szarość wieczoru, który kładł się cieniem na miejskiej zabudowie sennego już Torunia. Wagon tramwajowy oświetlony karbidowymi lampami sunął przez plataninę torów, mijał nielicznych o tej porze przechodniów, ulice, budynki, mijał życie, które za każdym razem niby inne, a jednak od wieków niezmiennie takie samo: z miłością, nienawiścią, zazdrością, gniewem, wybaczeniem, szczęściem... A jeśli chodzi o Eleonorę i Wiktora, jak to bywa najczęściej, prawda splata się z nieprawdą, ale legenda pozostaje na zawsze taka sama.

Joanna Bawoł

Legenda o toruńskim Świetliku

Jak rodzi się legenda, każdy zgłębić może. W pradawnych wiekach, w zamkach lub gdzieś na jeziorze. Opowieść ta, zazwyczaj, jest jak z mchu utkana. Delikatna, tajemna, wciąż opowiadana. Każdy może w niej znaleźć echo dawnych czasów. Głębię morza, szum wiatru, ciemność dzikich lasów. Toruń – wciąż nieodkryty – ma swoje historie. Te dawne i dzisiejsze – zapisane skromnie.

Dziś chcę Wam opowiedzieć legendę wciąż żywą, którą stworzyło światło, barwa oraz miłość.

Na toruńskim bulwarze, w zacumowanej barce mieszkał prastary Świetlik lubiący świetlne tańce. Być może go spotkałeś w przybrzeżnej przystani, gdy wpatrywał się w wodę całymi nocami. Oj, smutny to był widok, rozdzierający wielce, gdyż Świetlik w lustrze wody utopił tęskne serce. W zamierzchłych, dawnych czasach poznał dziewczę młode, które skupiło w sobie świetlistą urodę gwiazd, słońca i księżyca – jakoby w obliczu. I od-tąd to Świetlika trzymało przy życiu. Zakochany bezbrzeżnie wpatrywał się w oczy, chcąc swym świetlistym blaskiem Piękną zauroczyć. I płynął im czas błogo, gdy spacerowali nadwiślańskim bulwarem, starymi ulicami.

Aż kiedyś dnia pewnego dziewczę uleciało – pierzchło, znikło, uciekło – jak mgła się rozwiało, zostawiając po sobie świetlistą poświatę, która w sierpniu okrywa Toruń swoim blaskiem.

Bella Skyway Festival z tej wziął się przyczyny, by móc ulżyć tęsknocie Świetlika jedynej. By podczas festiwalu mógł chociaż zobaczyć, jak na murach kamienic światło pięknie skacze. Obrazy rodem z baśni ożywają wten-

czas, by grą barw ukołysać zakochane serca. By każdy się zachwycić mógł gotykiem nowym: odrodzonym i barwnym – jak ptak kolorowym.

A Świetlik wypatruje błokiego oblicza tej Pięknej, która Bellą zowie się dziewczica. W ostatni weekend sierpnia ma owa rzecz miejsce, więc gdy Toruń odwiedzisz, przypatrz się pięknie, czy wśród obrazów wielu, które światłem grają, nie ma Tej, o której śni Świetlik znad bulwaru...

Kinga Grablis**O Koperniku, który zbudził Księżyc**

Jest pewne miejsce. Miejsce, w którym, wbrew twierdzeniom – ruszyło Słońce, a stanęła Ziemia. Nie bądźcie zdziwieni, w czasach kiedy toczy się ta historia, teoria ta cieszyła się niezwykle popularnością. Ba – była właściwie jedyną właściwą. Polemizował z nią jeden długowłosy, niezwykle odważny młody człowiek. Wybierzmy się zatem w podróż przez meandry przeszłości, żeby dotrzeć do punktu, w którym Słońce pojawiło się na nieboskłonie. Dokąd? Do Torunia!

Ciemność zalewała miasto nieprzerwanie od ponad stu dni. Przynajmniej tak wynikało z rachunków włodarzy. Prostym mieszkańcom doby wypełnione jednostajną czernią zlewały się jednak w całość. Mrok przenikał uliczki na wskroś, sięgając do najodleglejszych zaułków. Raz po raz dało się słyszeć siarczyste przekleństwo – wyraz dezaprobaty dla niedostrzeżonej nierówności bruku. Czasami zaś pustkę przecinał zduszony okrzyk. To ktoś przerażony miauknięciem przemykającego kota ulegał pobudzonej przez zmrok fantazji. Lęk przed nieznanym, które mogło ukrywać się w najciemniejszym z zakamarków, nakręcał zbiorową panikę. Niewielu znajdowało się odważnych, którzy samotnie poruszali się po toruńskich ulicach. Próbowano zaradzić tej sytuacji. Na próżno jednak uczeni szukali sposobu rozwiązania problemu. Nie znali bowiem przyczyny, dla której nad miastem zapadła kurtyna mroku. Głowili się wybitni profesorowie, zastanawiali astronomowie i przyrodnicy. Nawet młodzi adepci nauk ścisłych wymieniali między sobą śmiałe domysły, niepozbowione nuty powszechnej paranoi: zbliżająca się zaraza, gniew Boży, widmo kolejnej wojny. Pewnego późnojesiennego poranka nie-

wielką salkę szkoły parafialnej przy kościele Świętych Janów wypełniał głośny szmer toczonych między uczniami rozmów. Ich twarze, z widocznie odmalowanym zaaferowaniem, to pojawiały się, to znikały w blasku pełgających świateł. Rozgorączkowanym tonem wymieniali uwagi na temat wczorajszego zgromadzenia i zuchwałego wystąpienia ich kolegi. Zwyczajem już bowiem stały się spotkania mieszkańców na rynku miejskim. Jedni szukali w obecności sąsiadów otuchy i poczucia bezpieczeństwa, inni z kolei korzystali z możliwości podzielenia się z publiką swoimi tezami. Do grona śmiałych mówców należał młody Klimek, syn ratuszowego trębacza. Chłopak, ze znaną sobie odwagą, wystąpił przed tłum i tubalnym głosem ogłosił swoją teorię.

– Porwano Księżyc, powiadam! Nie nastanie dzień, póki biała kula, rozświetlająca noc, nie powróci na swoje miejsce! Ogłaszam wszem i wobec – to brak Księżyca odpowiada za naszą niedolę.

Echo jego słów poniosło się po uliczkach. Gwar panujący na rynku na chwilę ucichł, a tłum, jak zaczarowany, zastygł w miejscu. Dopiero później hałas rozmów uderzył z mocą. Wystąpienie młodego chłopca wywołało wielogodzinne debaty i, być może pośrednio dzięki szacunkowi, jakim cieszył się jego ojciec, spotkało się z aprobatą uczonych. Następnego dnia natomiast spowodowało żywiołowe rozmowy między kolegami Klimka ze szkoły. Sam śmiałek, jak gdyby nigdy nic, wkroczył sprężystym krokiem do klasy i zajął swoje miejsce. Mimo panującego w dusznej salce półmroku poczuł na sobie czyjeś palące spojrzenie. Z blasku ognia wyłoniła się pociągła twarz chłopca, z którym dzielił ławę. Długie włosy przysłaniały jego oczy, ale Klimek wiedział, że biła z nich wyłącznie nienawiść. Konkurował z Mikołajem w każdej dziedzinie. Wiedział, że wczorajsze wystąpienie nie ociepli jego stosunków z młodym Kopernikiem.

– Zaraza cię dopadła? – wysyczał Mikołaj.

– Słucham?

– Opowiadasz bzdury, jakbyś był w gorączce. Twoje tezy to wierutne kłamstwa.

Klimek uśmiechnął się z pobłażaniem.

– Głupcy nigdy nie dowierzają wybitnym umysłom – powiedział, chcąc uciąć bezcelową kłótnię. Ambitny Kopernik po prostu nie mógł pogodzić się z tym, że tym razem to on – dzielny Klimek, okaże się lepszy.

– Doprawdy? To kto, twoim zdaniem, porwał Księżyc? – opanowany głos Kopernika, mimo panującego dookoła szumu, dotarł do uszu Klimka niezwykle wyraźnie.

– Kaszczorek – odparł z mocą.

Kopernik zaśmiał się pod nosem.

– Ten diaboliczny stwór z dna rzeki? Wolne żarty, chyba nie sądzisz, że on naprawdę istnieje?

Klimek poczuł, jak na jego twarzy wykwitł rumieniec złości.

– Jak to nie?! – uniósł się. – A te historie o jego parszywych zbrodniach? Dzieci, które porywa za każdym razem, gdy wypływa na brzeg? Bydło, które zagryza, żeby żywić swój nienasycony głód?

– To tylko historyjki opowiadane ku przestrodze, żeby dzieci nie zapuszczały się nad brzeg Wisły. – Kopernik westchnął i począł układać leżące przed nim notatki spisane równym, schludnym pismem. – I żeby naiwni młodzieńcy mieli o czym rozprawiać – dodał po chwili.

– Doprawdy? – Klimek, siłąc się na spokój, naśladował ton Mikołaja.

– To co, twoim zdaniem, porwało Księżyc?

– Nie twierdzę, że ktokolwiek to zrobił. Ciało niebieskie nie może zostać porwane. To zjawisko w ogóle nie dotyczy Księżyca.

– Zatem dlaczego go nie widać?

– To Ziemia zboczyła z kursu. Dlatego nie ma ani Słońca, ani Księżyca – rzekł z powagą Kopernik, nie przestając wertować notatek, jak gdyby właśnie stwierdził coś zupełnie oczywistego.

Klimek najpierw zdębiał, potem prychnął kpiąco. Mikołaj opowiadał zupełnie niestworzone rzeczy. Przecież Ziemia się nie rusza!

– A mówią, że jesteś najlepszym uczniem – skwitował z nieukrywanym politowaniem w głosie. – Każdy wie, że Ziemia się nie kręci.

– Kręci – Kopernik uniósł spojrzenie na Klimka i na chwilę chłopak dostrzegł w półmroku bijący z jego przymrużonych oczu upór. Szum rozmów przerwało przeciągłe skrzypnięcie drzwi do salki. Kanonik, niosąc pod pachą opasłe tomisko, wkroczył do środka.

– Udowodnię to – uciął Kopernik.

Mikołaj wkroczył do swojej izby i z wściekłością rzucił notatki na ławę. Stronice wirowały przez chwilę w powietrzu, po czym rozsypały się na drewnianym blacie. Jak ten zuchwały Klimek miał czelność publicznie głosić takie kłamstwa?! I jeszcze śmiał podważać słusność jego teorii! Owszem, była ona sprzeczna z tym, czego uczono, ale znajdowała uzasadnienie w tym, czego właśnie doświadczali. Poza tym Kopernik niejedną noc spędził na śledzeniu ruchów zachodzących na niebie. Na pamięć znał rozległe rozprawy bazujące na teorii Arystarcha, które podrzucał mu nauczyciel. To właśnie rękopisy spoza kanonu lektur, głoszące skrajnie inne niż powszechnie przyjęte twierdzenia, najbardziej rozbudzały jego apetyt wiedzy. Usiadł przy drewnianej ławie i chwycił w palce glinianą kulkę – Ziemię w jego prowizorycznym modelu wszechświata. Zdarzały się momenty, w których wątpił w prawdziwość kiełkującej w jego głowie tezy.

– Kręcisz się czy nie? – zapytał trzymanej w dłoni kuli.

Tymczasem ciemność na ulicach zdawała się jeszcze bardziej gęstnieć. Ludność zaczęła ulegać mrocznej aurze. Coraz częściej zdarzały się kradzieże i napaści. Nawet zgromadzenia na rynku nie dawały już poczucia bezpieczeństwa. Kto tylko mógł, pozostawał we własnej izbie, a do załatwienia koniecznych sprawunków organizowano się w grupy. Rzemieślnicy i kupcy od-

nosili niepoliczalne straty. Bogatsi opuszczali mury miejskie w poszukiwaniu nowego lokum. Wiedziano, że każdy kolejny dzień mroku przybliży mieszkańców Torunia do końca. Jeżeli coś nie przerwie tego stanu, miasto niewątpliwie się wyludni. Chwymano się każdej deski ratunku. Ani kilkugodzinne modły, ani wyprawy przeciw niesprecyzowanemu wrogowi nie przynosiły jednak rezultatu.

Na Klimku zaczęła ciążyć odpowiedzialność za wypowiedzianą tezę. Mieszkańcy domagali się, by zmierzył się z porywaczem Księżyca. Pokładali w nim wszelkie nadzieje. Ostatecznie tylko on mógł wyzwolić ich od ciemności. Miano bohatera i sława skusiły Klimka. Nie zastanawiając się długo, wyruszył w podróż wzdłuż rzeki. Przy ujściu Drwęcy do Wisły – miejscu, w którym rzekomo widywano Kaszczorka, wszedł do wody. Nieliczni śmiałkowie, którzy z bezpiecznej odległości zdolni w każdej chwili się wycofać, obserwowali zatapiającą się w toni postać odważnego Klimka. Kiedy niespokojna tafla wody pochłonęła całą sylwetkę młodzieńca, gapie wrócili do miasta, niosąc wieści oczekującym w napięciu mieszkańcom. Zgromadzeni na rynku krążyli niespokojnie między pograżonymi w mroku uliczkami. Raz po raz ktoś unosił wzrok z utęsknieniem, wypatrując na nieboskłonie chociażby słabej poświaty. Nie wszyscy jednak oddali swój los w ręce Klimka.

W tym samym czasie młody Mikołaj Kopernik w pocie czoła wykonywał skomplikowane obliczenia matematyczne. Nie wierzył w istnienie Kaszczorka, a już zwłaszcza we wpływ wodnika na Księżyc. Postanowił wziąć sprawy w swoje ręce. Nie przerywał pracy ani na chwilę. Staranne zwykle zapiski tym razem raz po raz szpecił kleks zbyt szybko наносzonego na papier atramentu. Ręka nie nadążała za rodzącym się w głowie pomysłem. Liczby, wzory i twierdzenia wirowały w głowie Kopernika. Nawet korzenna nuta pieczonych przez matkę pierników, za którymi przepadał, nie była w stanie oderwać go od obliczeń. W końcu wyprostował się i spojrzał na gęsto zapisane stronicie. Nie potrafił ukryć dumy, ale wiedział, że najważniej-

sze zadanie dopiero przed nim. Zebrał notatki i silnym dmuchnięciem zgasił stojący na ławie ogarek świecy. Wybiegł z izby, nie zważając na krzyki protestu przerażonej matki. Przeciął Rynek Staromiejski i szybko znalazł się w izbie swojego nauczyciela. Nie wiadomo dziś, kim był ów człowiek. Niewątpliwie jednak to on zaszczepił w Koperniku miłość do astronomii. Dostarczał mu powszechnie niedostępne księgi i prowadził przez tajniki wiedzy starożytnych. Bazując na notatkach Mikołaja, obaj zabrali się do kolejnego etapu zadania. W ascetycznie urządzonej izbie nauczyciela zbudowali okazałych rozmiarów urządzenie astronomiczne – astrolabium. Ta skomplikowana konstrukcja pozwoliła im wyznaczyć położenie Księżyca i planet. Zawile rachunki i wnikliwe obserwacje potwierdziły wywrotową tezę Kopernika: to Ziemia krąży wokół Słońca. Nieznana siła zmieniła położenie jej orbity, dlatego z widnokładu zniknęły inne ciała niebieskie i gwiazdy. Ciemność opanowała nie tylko Toruń, ale i całą planetę!

Kopernik z pomocą nauczyciela natychmiast stworzył kolejne narzędzie. Potężna siła, jaką wyemitowała ta tajemnicza maszyna, wywarła wpływ na powłokę Ziemi i znacznie wzmocniła grawitację. Podłoże pod stopami lekko zatrzęsło się. Kopernik podszedł do astrolabium. Dalsze spostrzeżenia wskazywały na to, że Ziemia powraca do swojego właściwego położenia. Nietypowe całkowite zaćmienie to najwyraźniej element funkcjonowania Wszechświata. Kopernik uznał, że jest to rodzaj wyregulowania, jakiemu Ziemia poddaje się, by trwać w równowadze z innymi planetami Układu. Rozemocjonowany Mikołaj odetchnął z ulgą.

Po wielogodzinnej pracy wyszedł z izby nauczyciela i zaczerpnął świeżego powietrza. Spojrzał w górę. Na granatowej powłoce nieba rysował się półcień Księżyca w nowiu. Kopernik uśmiechnął się. Tymczasem do miasta powrócił Klimek. Jego ubranie nosiło ślady walki, a z roześmianej zwykle twarzy bił grymas cierpienia. Ubyło mu energii. Nawet w obliczu bólu nie mógł ukryć lekkiego uśmiechu, kiedy na jego widok tłum zaczął wiwatować.

– Wszyscy święci! – krzyknął ktoś nagle, wskazując palcem niebo. Głowy podnosiły się ku górze, śledząc rosnącą płaszczyznę Księżycy.

– Klimek uratował Księżyc!

Tłum począł wiwatować. Szczęśliwi mieszkańcy powoli rozchodzili się do domów, a otoczony grupą kilkunastu skandujących jego imię osób Klimek powoli zmierzał do własnej izby. Ciekawscy próbowali wydobyć z niego szczegóły starcia z przerażającym wodnikiem, ale chłopak zbywał ich zdawkowymi odpowiedziami.

Młody Kopernik przyglądał się tej scenie z uśmiechem. Nie znajdował się w centrum uwagi, tak jak i Ziemia nie była środkiem Wszechświata. Dowiedział tego i teraz mógł spokojnie wracać do domu, pewien, że jutro jego i mieszkańców obudzi blask słonecznego światła.

– Świetlana przyszłość przed nami – rzekł z zadowoleniem w stronę jaśniejącego nieboskłonu.

Od tamtego wydarzenia każdego dnia nad malowniczymi uliczkami Torunia wstaje Słońce. Gmachy kamienic rzucają cienie na chodniki Rynku Staromiejskiego, którymi niegdyś przechadzał się Mikołaj Kopernik – wybitny astronom, którego dzieło „O obrotach sfer niebieskich” zrewolucjonizowało kierunek pojmowania Wszechświata. Nie wiadomo natomiast, jak po tym pamiętnym zajściu potoczyły się losy Klimka. O swojej walce z okropnym potworem nie chciał opowiadać. Z czasem niektórzy niedowiarkowie powiadali, że była ona tylko wymysłem żądnego poklasku młodzieńca. Prawdziwą czy nie – postanowiono jednak wynagrodzić heroiczną postawę Klimka. Na pamiątkę tego starcia jedną z toruńskich dzielnic mianowano imieniem pokonanego stwora – Kaszczorka.

Marcin Sumowski**Zdrajcy**

Zdrada zaczęła się od spowiedzi. Niclas Helwig przypominał sobie później ten chłodny lutowy dzień, kiedy udał się do klasztoru franciszkańskiego. Duszę zamierzał oczyścić z grzechów, a umysł z tajemnicy. Ciężył mu otrzymany kilka dni wcześniej list wielkiego mistrza, jeszcze przed rokiem pana, a obecnie wroga. Wojna, którą mieszczenie rozpętali, poddając się królowi polskiemu, pomieszała dotychczasowych przyjaciół i nieprzyjaciół. A kupiec musi dobrze odróżniać pierwszych od drugich. Dlatego potrzebował rady. Lektor franciszkanów przyjął go życzliwie. Skierował go jednak do plebana kościoła św. Jana. Toruński duszpasterz należał przecież do zakonu Maryi Panny, powinien najlepiej wiedzieć, co począć z ofertą wielkiego mistrza. Duchowny polecił mu przybyć na wieczorną naradę. Helwig pamiętał ją dobrze, tortury odświeżały wspomnienia.

Było już dobrze po nieszpórach, kiedy na plebanii przy ulicy Jęczmiennej usłyszano pukanie do drzwi. Stojący przed nimi Niclas Helwig rozglądał się niespokojnie, odmierzając każde uderzenie serca. Z domu plebana nie docierał na ulicę najmniejszy blask światła. Całą „wyspę” wokół kościoła Świętego Jana zalegała cisza, spotęgowana przez otulający miasto biały puch. Gęsto padające płatki śniegu zatarty już ślady kupca. Dopiero po dłuższej chwili usłyszał przekręcanie klucza w solidnym zamku. Nie mógł opanować westchnienia ulgi, kiedy ujrzał przed sobą znajomą twarz pacholka. Chłopiec wychylił się i rozejrzał, a trzymana w ręku świeca oświeciła jego nastoletnią twarz. Gestem nakazał Helwigowi wejść do środka, po czym zamknął drzwi i przekręcił klucz. Poprowadził kupca do małej izby, oświetlonej niewielkim

lichtarzem, gdzie przy prostym stole siedział zamyślony duchowny. Nie był sam. Niclas dobrze znał jego dwóch równie zadumanych towarzyszy. Hans Jelan, dawny sędzia miejski i rajca, przybrał właściwą swoim niegdysiejszym funkcjom pozę dostojęństwa i wyższości. Drugim z gości plebana był Werner von Putten, podstarzały już kapelan biskupa warmińskiego. Wcześniej wyjechał z miasta w poszukiwaniu kariery kościelnej, ale Helwig znał jego rodzinę, dobrze usadowioną w kręgu toruńskich władz miejskich.

– Usiądź synu – pleban zwrócił się do przybyłego. – Pokaż nam te listy.

– Nie mam ich już – cicho odparł Helwig. – Gdyby trafiły w niepowołane ręce...

– Ala ja mam – odparł duchowny, rzucając na stół list z zerwaną pieczęcią. – Tak się składa, że do mnie też raczył napisać Jego Dostojność.

Zebrani przyglądali się przez chwilę złożonej kartce papieru, jakby wahając się po nią sięgnąć. Wyczuwalne niezdecydowanie przerwał dopiero Jelan, który śmiałym ruchem chwycił korespondencję. W milczeniu przeczytał tekst kilka razy, po czym bystrym wzrokiem objął zebranych.

– Wielki mistrz proponuje nam – rzekł w końcu – abyśmy ponownie oddali się pod jego władzę...

– Zawrócili z drogi zdrady – wtrącił pleban.

– W zamian – kontynuował Jelan – oferuje odstąpienie od pomsty za niewierność.

– To samo było w listach, które otrzymałem od wielkiego mistrza i komtura w Gniewie – uzupełnił Helwig. – Co radzicie panowie począć z taką ofertą? Rad bym się wreszcie dowiedzieć, kogo mogę uważać za przyjaciela, a kogo za wroga... Władza obcych nie jest mi słodka, a wojna przyszkadza w interesach.

– Obce rządy nikomu nie mile – burknął Jelan.

– Zwłaszcza pospólstwu – spokojnie stwierdził pleban. – Zdrajcy obiecali mu wolność, a przynieśli podatki. Na wojnę płaci lud i to trzeba wyko-

rzystać. Pełny trzos uspokaja, dlatego chytry pan rozdaje, nie odbiera. Ale król nie jest sprytny. Dlatego na Nowym Mieście bardziej kochają wielkiego mistrza.

– Mówicie, czcigodny plebanie, tak jakby wielki mistrz był dobrym panem – odezwał się Jelan. – Sami powinniśmy się rządzić!

– Nie bluźnijcie, panie Jelan – odezwał się milczący dotąd Werner von Putten. Stwierdzenie było kategoryczne, ale ton spokojny. – Radzimy tu o oddaniu sprawiedliwości prawowitemu panu, nie o kolejnych buntach.

– I o ratowaniu swoich głów – mruknął Jelan, bardziej do siebie niż do obecnych. – Ale ponowna zdrada nie wymaże poprzedniej... Jeśli wpuścimy wojska zakonne za mury, sprytny czy nie, stary pan gotów się upomnieć o swoją sprawiedliwość.

– Swoją? – zdziwił się Putten. – To Boża sprawiedliwość każe nam poddać to niewierne miasto!

– W jednym pan Jelan ma rację – uspokoił go pleban. – Należy działać roztropnie. Napiszę list do naszego pana i poproszę o gwarancję bezpieczeństwa dla miasta. Poproszę go też o listy, które odczyta się pospólstwu, aby przeciągnąć je na naszą stronę...

Nim duchowny skończył, rozległo się pukanie. Wszyscy poza plebanem z trudem kryli zaskoczenie. Gospodarz musiał oczekiwać jeszcze kogoś. Istotnie, cień uśmiechu zagościł na jego twarzy, kiedy po krótkim czasie w izbie stanął otyły, brodaty mężczyzna. Poruszał się powoli, ale nie z powodu swej tuszy. Niemrawe kroki znamionowały raczej postępujący ból nóg. Przybyły ciężko opadł na przygotowane dla niego krzesło i odetchnął głęboko. Dopiero wtedy się odezwał.

– Dobrej nocy panom – rzekł z trudem łapiąc oddech. – Nie wiedziałem, Wasza Czcigodność, że będziecie mieli więcej gości. Nie przygotowałem się. Wyszedłem jak stałem, kiedy przybył pacholek.

– To nie wieczerza... – zaczął Putten, ale pleban powstrzymał go ruchem ręki. Uśmiechnął się szeroko do nowego gościa.

– Zawsze rad jestem widzieć w swoim domu pana, panie Jebing – uprzejmie zaczął duszpasterz. – Ale tym razem zaprosiłem pana w sprawie wysokiej wagi, nie czczych pogadanek czy uczt. Potrzebujemy pomocy i rady.

Hermann Jebing, jak przystało na statecznego mieszczanina, okazał jedynie taktowne zainteresowanie, wyrażone lekkim uniesieniem brwi. Jelan bez słowa przesunął w jego kierunku list. Ten rozłożył go z zainteresowaniem i zagłębił się w lekturze. Jego kamienna twarz przybrała kształt zaskoczenia, zaniepokojenia, wreszcie strachu.

– Matko Przenajświętsza! – jęknął Jebing. – Toż to zdrada!

– Raczej wyrównanie rachunku zdrad – niechętnie przyznał Jelan. – Umiesz liczyć, zważ, ile setek grzywien już straciłeś na wojnie i tym polskim panowaniu.

– Zamierzacie odpisać na ten list? – zapytał Jebing, choć dobrze znał odpowiedź.

– Jeżeli tego nie zrobimy, wszyscy poniesiemy karę, kiedy zakon zwycięży – zauważył Putten.

– Jeśli zwycięży... – wtrącił Jelan.

– A jeżeli nie? – odparł Jebing.

To pytanie zawisło nad spiskowcami, zaciskając gardła nawet najtwardszym stronnikom zakonu. Ostateczność tej chwili stała się nagle porażająca. Obrona teraz droga miała prowadzić nie tyle do przyszłych losów kraju czy miasta, ile każdego z nich. Ciszę przerwał Helwig:

– Miasto może doznać szkody, jeżeli nie odpiszemy – stwierdził z uniesieniem. – Już samo to wystarcza, abym się nie wahał. To ryzyko, jakie mogę udźwignąć. Radziłem wcześniej z kilkoma rycerzami ziemi chełmińskiej i są tego samego zdania. Bylem dowiedział się wreszcie, kim jestem... Zdrajcą czy wiernym poddanym?

– Napiszemy – potwierdził pleban. – Niech nasz pan przybędzie z wojskiem pod mury, a wtedy my otworzymy bramy...

– Przysięgnijmy! – zażądał Jebing. – Przysięgnijmy, że dochowamy tajemnicy! Ta zdrada nie może wyjść na jaw...

– A co to jest zdrada? – zasepił się Jelan. – My tylko zamieniliśmy jednego pana na drugiego. Tamten miał krzyż na płaszczu, ten nosi koronę. Możemy zamienić jeszcze raz. A król Polski nas nie wybawi, tylko sami możemy to zrobić!

– Tylko Bóg – odparł pobożnie pleban i uśmiechnął się do wizji przyszłości. Swojej przyszłości.

Wieś Mokre stanęła w ogniu. Płomienie szeroką łuną rozjaśniły wieczorne marcowe niebo. Czerwony blask osiadł na wieży kościoła Świętego Jakuba i spływał w dół ku murom Nowego Miasta. Ogień trawił też przedmiejskie winnice i zatrzymywał się dopiero na Wiśle. Ludwik von Erlichshausen po raz ostatni odwrócił się ku niewiernemu miastu. Toruń zdradził go już po raz drugi.

Bramy były zamknięte.

Różnie opowiadano później o niedosłej zdradzie. Pogłoski przeszły w plotki, a plotki w legendę. Mówiono o trzech tajemniczych kobietach, które schwytano w okolicy jednej z bram miejskich. Jak utrzymywał pewien pacholek, który na nie doniósł, niewiasty odcisnęły wcześniej w wosku zamki do bramy, co pozwoliło im przygotować podrobione klucze. A w niepowołanych rękach taki oręż bywa silniejszy od miecza. Kobiety nie zdążyły jednak opowiedzieć, z czyjego polecenia działały. Wojenna sprawiedliwość była szybsza. Ich śmierć pozostawiła w mieście niepokojące przeczucie ukrytej, nieuchwytniej zdrady. Uczucie, które nakazywało szczelniej zamykać drzwi i z nieufnością patrzeć na życzliwego dotąd sąsiada. Mury nie tylko opasy-

wały już miasto, one rozrosły się wewnątrz. Ciągnęły się w poprzek ulic, kamienic, a nawet stołów na ucztach bractw religijnych. Ceglany mur chronił i łączył, ten niewidzialny niepokoił i dzielił.

Podjrzliwe spojrzenia dosięgły pewnego dnia Hermanna Jebinga, mieszczanina o chorych nogach i niejednoznacznych poglądach. Nadeszły czasy słów ostrych, tymczasem on uparcie używał słów okrągłych. Zwracał uwagę. Nikt nie umiał stwierdzić, po której stronie się opowiada. A w połowie marca, kiedy wojska zakonne zbliżały się pod mury i chodziły słuchy o listach, które wielki mistrz miał śłać do pospólstwa, czujne oczy sąsiadów zaobserwowały pewną osobliwość. Złożony niemocą Jebing, którego nie widywano zwykle zbyt daleko od domu, wybrał się na przechadzkę. Co więcej, przeszedł bramę, przed którą niebawem miał stanąć herold wojsk zakonnych. Podejrzewano, że niósł ostrzeżenie o fiasku zdradzieckich zamiarów. Tak mówiono.

Opowiadano też później, że zdrajców wykryto i poprowadzono na rynek. Przechwycone listy kazano im teraz trzymać wysoko nad głową, aby lud mógł je dobrze zobaczyć. Reszta należała do kata. Miasto odetchnęło, śmierć zdrajców przywróciła porządek. Ale raz postawionych murów nie mogła zburzyć żadna zemsta.

Mówiono wiele. Ale potem nadeszły kolejne rewolty, bitwy i inne wydarzenia, którymi wiatr historii smaga losy ludzi, pozostawiając ich na pastwę dziejopisów. I tylko nieliczni przechowali w pamięci zdrajców z Roku Pańskiego 1455...

Łoże było nadzwyczaj miękkie. Lorenz Bernardi nie pamiętał, aby kiedykolwiek było mu tak wygodnie. A może po prostu tracił już kontakt ze swoim zmęczonym ciałem. Czuł, że umiera. Coraz częściej nawiedzały go natrętne wspomnienia, które czas zdawał się już dawno rozwiąć. Dziś wrócił do niego ten brzemienisty w skutki zimowy wieczór na jego starej plebanii. Jako dusz-

pasterz toruński gościł przed laty wielu ludzi, ale tych kilku zapamiętał najlepiej. Zapamiętał ich koniec.

Niclasa Helwiga wzięto na tortury. Opowiedział wszystko. Niewiele mu to pomogło, skończył jako poćwiartowany zdrajca. Jelan i Jebing, możni i z pozoru nietykalni mieszczenie, trafili na szafot. Kata uniknął Putten, ale on był duchownym. A duchownych nie stawia się przed świeckim trybunałem, nie karze ani ścina. Śmierć znalazła go dopiero po latach, na biskupiej Warmii.

Zbliżała się również do Lorenza. Ale nie zabierze plebana, tylko kownika królewieckiego. A zawdzięczał to w znacznej mierze owej lutowej nocy sprzed lat. Mieszczenie uwięzili go co prawda po wykryciu spisku, ale nikt nie podniósłby ręki na kapłana. Po długiej wojnie doczekał się nagrody za wierność. Dlatego narada na plebanii powróciła do niego właśnie teraz, u kresu. Wspominał też nadwiślańskie miasto, równie zdrazieckie, co wierne.

Krzysztof Lewandowski

Legenda o toruńskiej twierdzy i architekcie

Długo na świecie trwały wojny. Najbardziej dotknęły one kraje starego świata, gdzie rządy zmieniały się niepokojąco często i gwałtownie. Właśnie dlatego w całej Europie można było napotkać jeszcze pozostałości po stoczonych bitwach niezliczonego wojska, a gdzieś tam stacjonowały uzbrojone po zęby oddziały, gotowe do natychmiastowej walki za ojczyznę i swojego władcę. Europa była wtedy nieprzyjaznym i niepewnym miejscem. Wszędzie czaiło się niebezpieczeństwo i wróg, a miasta prześcigały się w budowaniu umocnień, aby nie ulec przeważającej sile obcego najeźdźcy.

Rada Miasta Torunia i mieszkańcy doskonale zdawali sobie sprawę z grożącego miastu niebezpieczeństwa i wiszącego nad Europą widma przyszłej wojny. Niedawno zakończyła się kampania Napoleona, a wśród ludności ciągle można było wyczuć napięcie spowodowane przegraną cesarza Francuzów i skutkami, jakie to niosło dla zwycięzców. Szczęśliwie się złożyło, że Francja po przegranej wojnie musiała zapłacić ogromną ilość pieniędzy Królestwu Prus w ramach zadośćuczynienia. Pozwoliło to zapełnić każdy miejski skarbiec w Królestwie po brzegi, a nawet potrzeba była stworzenia dodatkowych, by cała kwota niczym nie niepokojona spoczywała w odosobnionym miejscu. Tam była bezpieczna przed złodziejami i mogła w spokoju poczekać, aż będzie potrzebna dla miasta.

Korzystając z takiej okazji, Rada Miasta Torunia wraz z burmistrzem zaczęła się zastanawiać nad tym, w jaki sposób rozbudować miasto, a przede wszystkim jak uczynić je bezpiecznym przed następną wojną. Długo rozmyślano nad odpowiednim rozwiązaniem, gdy niespodziewanie w głowie jednego z członków Rady zakwitł szalony pomysł. „W całej Europie miasta bronią

potężne fortyfikacje. Zbudujemy twierdzę, jakiej świat nie widział. Twierdzę, która będzie się równać z największymi w całych Prusach. Twierdzę, która stawi czoła każdej armii świata”. Pomysł był niezwykle śmiały i trudny w realizacji, jednakże cała Rada jednogłośnie go poparła. Wszystkich rozpierała duma na myśl o przyszłej potędze i chwale miasta, więc nie chcąc tracić czasu, podjęto decyzję o budowie Twierdzy Toruń.

Rada Miasta niezwłocznie ogłosiła poszukiwania architekta, który uporałby się z tak ogromnym i trudnym przedsięwzięciem. Czekало go zadanie niezwykle i dotąd niespotykane, dlatego konstruktor twierdzy musiał być mistrzem w swoim fachu. Powinien być najlepszym z najlepszych, bo tylko taki projektant podoła temu zadaniu. Postarano się więc, by wiadomość o poszukiwaniach dotarła do uszu wszystkich mieszkańców Królestwa Prus.

Do Torunia zaczęli tłumnie ściągać architekci z najdalszych zakątków Prus. Niektórzy podróżowali z tak daleka, że do miasta przybywali z gotowymi pomysłami na budowę twierdzy. Odległość dzieląca ich od Torunia pozwalała dokładnie przemyśleć i przede wszystkim rozrysować całą twierdzę, aby ukazać władzom miasta swój koncept. Po dotarciu na miejsce architekci niezwłocznie prezentowali swoje dzieło Radzie Miasta i burmistrzowi.

Dzień i noc burmistrz w swojej siedzibie przyjmował mistrzów architektury. Oglądał szkice, wypytywał o plany, porównywał projekty wszystkich przybyłych. Niestety, żaden z zaprezentowanych pomysłów nie spełniał jego i Rady oczekiwań. Propozycje mistrzów były wspaniałe, nietuzinkowe i z pewnością wyjątkowe, jednakże miasto chciało czegoś, czego świat nie widział, czegoś, co przetrwa wieki i będzie świadczyło o ogromie i potędze miasta, czegoś, co uczyni miasto niezdobyтым dla największych armii świata.

Szczęśliwie dla miasta okazało się, że miał doń wkrótce zmierzać jeszcze jeden architekt. Będąc w sąsiednim mieście, przypadkiem usłyszał o po-

szukiwaniach konstruktora twierdzy. Postanowił zatem niezwłocznie wyruszyć do Torunia i podjąć się niemożliwego.

A był to nikomu nieznany mistrz architekt z talentem przeogromnym. W zaciszu swojego malutkiego domu na wsi tworzył wspaniałe projekty, nie-stworzone budowle, wielkie obiekty, ponadczasowe konstrukcje, które mogły wprowadzić w zachwyt każdego. Wydawać by się mogło, że potrafi cały świat na nowo zaprojektować swoim piórem. Większego mistrza od niego w sztuce architektury świat dotąd nie widział i zapewne nigdy już nie spotka. Taki posiadał talent.

Toruń był blisko, jednak droga okazała się trudna i niebezpieczna. Po kilku dniach podróży udało się mistrzowi dotrzeć do celu swojej podróży. Stanął przed bramami miasta i głośno wołał o rozmowę z burmistrzem. Burmistrz, który znajdował się wówczas na szczycie wieży ratuszowej, usłyszał wołanie, spostrzegł architekta pod bramą i podążył w jego stronę. Architekt wnet rozpoznał go po stroju i przedstawivszy się, zaprezentował mu szkic stworzonej w czasie drogi przez siebie ogromnej twierdzy. Burmistrz spojrzawszy na szkic, zaniemówił z wrażenia. Twierdza była tak ogromna i tak potężna, że patrząc na jej rys, nie był w stanie wykrztusić słowa. Nic nie mówiąc, wziął architekta pod rękę i natychmiast zaprowadził go przed oblicze Rady Miasta. Pomysł nieznanego mistrza wprowadził władze miasta w osłupienie nie mniejsze niż samego burmistrza. Postanowiono się natychmiast naradzić i po krótkiej dyskusji zdecydowano – twierdza musi zostać zbudowana. „Będzie to wspaniałe dzieło” – wykrzykiwali jeden przez drugiego.

Gdy pierwszy zachwyt przeminął, podjęto decyzję o nagrodzeniu architekta za wspaniały pomysł. Jednakże postawiono mu pewien warunek – swoją zapłatę miał otrzymać dopiero po przekazaniu planów i po zakończeniu budowy. Dodatkowo powinien wszystko osobiście nadzorować, aby budowa przebiegała zgodnie z planem. Dla nieznanego architekta było to

ogromne wyróżnienie, więc tym bardziej postanowił uczynić miasto Toruń wspaniałym dzięki swojej twierdzy.

Architekt niezwłocznie przystąpił do pracy. Oddano mu do użytku małą salę u podstawy wieży ratusza, w której niczym nie niepokojony mógł wszystko dokładnie planować i projektować. Stamtąd też kierował całą budową, która rozpoczęła się już po zaakceptowaniu pomysłu budowy Twierdzy Toruń.

Z powodu budowy z całego Królestwa Prus drogą wodną i lądową zmierzały do Torunia potrzebne materiały. Zarówno okoliczne, jak i te dalekie warsztaty rzemieślnicze pracowały dzień i noc, aby dostarczyć wszystkie niezbędne elementy. Jednakże praca nie tylko zajmowała murarzy i robotników w kamieniołomach. Trudne zadanie postawiono jeszcze przed snycerzami, rusznikarzami, tkaczami, stolarzami, kowalami, a nawet żołnierzami i zwykłymi mieszkańcami. Każdy brał udział przy budowie fortyfikacji. Dla każdego budowa była ważna i każdy chciał być jej częścią.

Dzięki pracy i zaangażowaniu wszystkich okolicznych mieszkańców kilka lat nieustannej pracy minęło niezwykle szybko. Wspólnymi siłami udało się stworzyć dzieło niezwykle, budzące podziw, ale i strach. Taka to była potężna twierdza.

Od tej chwili Toruń zaczął odżywać. Na ulicach robiło się gwarно i tłoczno. Na placach pojawiały się nowe stragany, w których tłumnie przybywający kupcy z całego świata sprzedawali swoje produkty. W mieście z dnia na dzień powstawały nowe budynki. Karczmy, gospody, kamienice, szkoły wyrastały jak grzyby po deszczu. Toruń powoli stawał się tętniącym życiem, światowym miastem, w którym każdy chciał mieszkać.

Plan nieznanego architekta zapewnił miastu dobrobyt, chwałę i potęgę. A samego konstruktora czekało życie w dostatku. Niezwykle wysoka nagroda obiecana przez Radę Miasta miała mu zapewnić wymarzoną przy-

szłość. Szczęśliwie się złożyło, że władze miasta nie kazały mistrzowi długo czekać i wezwały twórcę twierdzy przed swoje oblicze.

Z wizją nowego lepszego życia w sławie i bogactwie architekt stawiał się przed Radą Miasta. Był niezwykle podekscytowany, oczekując na nagrodę, jednakże Rada zdawała się nie podzielać jego entuzjazmu. Byli milczący i poważni. Długo trwała cisza, po czym pierwszy przemówił burmistrz. „Stworzone przez ciebie dzieło jest w istocie wspaniałe. Spełniłeś swoje obietnice, więc teraz my spełnimy swoje. Czeka cię życie w chwale i bogactwie. Zaraz otrzymasz swoją nagrodę”. Po czym, po wymówieniu tych słów, burmistrz bez słowa szybko opuścił salę wraz z ciągle milczącą Radą. Architekt pozostał sam w ogromnej sali ratusza. Każda minuta czekania zdawała mu się wiecznością, gdy niespodziewanie usłyszał brzęk monet, który coraz bardziej się przybliżał. Twórca toruńskiej twierdzy oczami wyobraźni widział ogromną sumę pieniędzy, która podąża w jego stronę. Po chwili w drzwiach ukazało się dwóch strażników, lecz zamiast worków z nagrodą w dłoniach nieśli kajdany! Architekt był tak zdumiony, a jednocześnie rozpaczony, że nie był w stanie wydusić słowa, gdy strażnicy w milczeniu zakuwali mu ręce, prowadzili go do celi oraz gdy zamknęli go za stalową kratą, zabierając mu wolność. Strażnicy, odchodząc, przekazali mu tylko wiadomość od Rady Miasta. „Nigdy stąd nie wyjdiesz. Pozostaniesz tutaj na zawsze razem ze swoim dziełem”.

Rozpacz przepełniała architekta. Nic już nie mógł uczynić. Został zamknięty w tajnej części twierdzy, w jej najciemniejszym miejscu, gdzie nawet światło nie docierało. Dookoła nie było absolutnie nikogo, kto mógłby mu pomóc. Został nie tylko oszukany, ale i zapomniany przez świat w jednej chwili. Padł ofiarą strasznego oszustwa i nieuczciwości, na które przecież nie zasługiwał. Pękało mu serce.

Z tego smutku i żalu, nie będąc w stanie już nic uczynić, rzucił straszną klątwę na całą Radę Miasta z burmistrzem oraz na swoje dzieło, Twierdzę

Toruń. „Przeklinam dzieło swoje wraz z tymi, do których teraz należy. Wieczne nieszczęścia spadną na wszystkich kłamców, którzy przekroczą jej próg!”. Od tej smutnej chwili twierdzę użytkować mogą bezpiecznie tylko osoby o sercu czystym i nieskalanym kłamstwem. Wszystkim innym grozi klątwa architekta, która dotąd ciąży nad całą twierdzą.

Po dziś dzień nieużywana twierdza niszczeje z roku na rok i popada w ruinę, czekając na zdjęcie klątwy, a po jej murach błąka się dusza zapomnianego architekta, czekającego na swoją nagrodę i chwałę.

Olga Rudzińska

O piernikarce i przekupce

W Toruniu znaleźć można wiele ciekawych pomników, figur i popiersi. Turyści robią sobie z nimi zdjęcia, dzieci lubią wokół nich pobiegać, a ptaki siadać im na głowach. Jednak mało kto wie, że kiedy nikt nie patrzy, pomniki za sprawą magicznych mocy ożywają. Gdy księżyc świeci w odpowiedni sposób, pomniki powoli przeciągają się, ziewają i zaczynają swój nocny spacer. Muszą jednak być bardzo ostrożne i uważać, żeby nikt ich na tym nie przyłapał, bo mogą wtedy znaleźć się w niebezpieczeństwie. Przekonała się o tym jedna z najurodziwszych toruńskich figur.

Pomnik toruńskiej piernikarki stanął w widocznym miejscu przy Małych Garbarach, gdzie kiedyś znajdowała się największa fabryka pierników. Piękna, młoda dziewczyna ma długą suknię, a w jednej ręce trzyma kosz wypełniony smakowitymi ciastkami. Towarzyszy jej mały piesek, Gutek, który nieśmiało chowa się za nogą właścicielki.

Gdy nadeszła pierwsza księżycowa noc i posągi zaczęły budzić się do życia, ożyli również piernikarka i Gutek. Najpierw oboje się mocno zdziwili, że mogą się poruszać. Nieśmiało, powolutku zeszli ze swojego podestu i kiedy nic złego z tego powodu się nie wydarzyło, zaczęli się głośno śmiać, skakać i tańczyć wokoło.

– Chodź Gutek, pozwiedzamy sobie miasto! – zawołała ochoczo piernikarka i ruszyli przed siebie.

Od razu trafili na pobliski Mały Rynek. Dziewczyna rozglądała się ciekawie, podziwiając piękne budynki, a piesek podskakiwał obok, od czasu do czasu strasząc śpiące gołębie warknięciem. W pewnym momencie dostrzegli

siedzącą na ławce starszą kobietę. Ubrana była w strój mieszczański, jedną ręką trzymała kosz z jajkami, a drugą podtrzymywała wyrywającą się z uścisku gęś. Kobieta patrzyła na wszystko z kwaśną miną i nie wyglądała sympatycznie. Mimo to piernikarka postanowiła podejść i przywitać się z nieznajomą.

– Dobry wieczór! Jestem piernikarką, a to mój piesek Gutek. Jesteśmy tutaj nowi i chcieliśmy się przywitać. Też jest pani pomnikiem, prawda? – zagadnęła przyjaźnie.

Kobieta zmierzyła ich wzrokiem, odburknęła tylko „Dobry wieczór” i zajęła się uciszaniem syczącej na Gutka gęsi. Nie zniechęciło to jednak piernikarki. Z entuzjazmem ciągnęła rozmowę.

– Czy jest pani przekupką? Na pewno doskonale zna pani miasto. Może mogłaby nam pani polecić najlepsze miejsce na nocny spacer? – dopytywała.

– Phi, nocny spacer! Coś podobnego! – oburzyła się przekupka.
– Trzymaj się swojej ulicy i nie włócz się gdzie popadnie. A najlepiej w ogóle nie schodź ze swojego stanowiska. Dobrze ci radzę, pilnuj swojego nosa i nie wtykaj go, gdzie nie trzeba.

Piernikarkę zadziwił ostry ton kobiety. Otworzyła szeroko usta i już miała coś powiedzieć, ale gęś zasyczała, wyciągnęła swoją długą szyję i uszczypnęła Gutka w ogon. Piesek cicho pisnął, a przekupka szybko wstała, wyraźnie rozzłoszczona.

– Zabieraj stąd to psisko! Denerwuje tylko moją gęś! Nie przeszkadzaj mi więcej i powtarzam jeszcze raz, siedź na swoim miejscu, jeśli nie chcesz kłopotów! – krzyczała kobieta.

Dziewczyna z niedowierzaniem pokręciła głową, zrobiła obrażoną minę i obróciła się na pięcie.

– Idziemy Gutek. Już nigdy więcej nie odwiedzimy tej nieprzyjemnej osoby. Znajdziemy sobie innych przyjaciół – rzekła z dumą i ruszyła przed siebie, a za nią podreptał jej towarzysz.

Długo błądzili urokliwymi uliczkami Torunia. Natknęli się na wiele ciekawych miejsc i zabytków. Zapoznali się z niezwykle przyjacielskimi figurkami mieszczan, siedzących na murkach i w oknach kamienic. Podziwiali pokaz ziania ogniem przez niewielkiego smoka toruńskiego. Gutek znalazł nowego przyjaciela w postaci pieska Filusia, który pilnował melonika i parasola swego właściciela. Piernikarka pięknie dygnęła przed Mikołajem Kopernikiem i pogłaskała osiołka stojącego przy Rynku Staromiejskim. Potem potańczyła trochę z flisakiem i jego żabkami, a w tym czasie Gutek obszczekiwał kota, który skrył się wysoko na dachu Dworu Artusa. Na koniec postanowili pójść jeszcze nad Wisłę na Bulwar Filadelfijski. Tam pożartowali trochę z rodziną krasnali mieszkającą pod pomostem i zachwycili się, zobaczywszy pięknie oświetlone miasto.

Piernikarka i jej piesek byli już trochę zmęczeni, więc powoli zaczęli kierować się w stronę swojego podestu. Przechodzili właśnie wąską, pustą uliczką, gdy na jej drugim końcu dostrzegli grupkę chuliganów. Zachowywali się bardzo głośno i mazali coś na ścianie jednego z budynków. Dziewczyna lekko się ich wystraszyła i powoli zaczęła wycofywać się z uliczki. Jednak zanim zdążyła uciec, wandy zauważyli ją i szybko dogonili.

– Proszę, proszę. Kogo my tu mamy? – największy z opryszków wyszczerzył zęby w szelmowskim uśmiechu. – Zgubiłaś się? Jesteś tu sama?

– Nnnie... Z moim pieskiem, Gutkiem – przerażona z trudem wydobyła z siebie głos.

– Z pieskiem Gutkiem? – prychnął chłopak, a jego towarzysze zaczęli rechotać. – To może pozwolisz nam się z nim trochę pobawić? – powiedział

i zanim zdążyła zaprotestować, podniósł Gutka za kark tak wysoko, że biedak aż pisnął ze strachu.

– Zostawcie go! Nie róbcie mu krzywdy! – piernikarka odzyskała śmiałość i stanęła w obronie przyjaciela. – Jego to boli!

– Naprawdę? – zakpił chuligan. – A jak zrobię mu tak? – I zaczął ciągnąć biednego Gutka za ogon z całej siły.

Piesek pisał coraz głośniej. Piernikarka rzuciła mu się na pomoc, ale dwóch innych łobuzów przytrzymało ją za ręce. Była za słaba, żeby wyrwać się z ich żelaznego uścisku.

– Pomocy! Na pomoc! Ratunku! – zaczęła krzyczeć ile sił w płucach w nadziei, że akurat ktoś będzie w pobliżu i ją usłyszy.

– Pomocy, pomocy! – przedrzeźniał ją opryszek. – Nikogo tu nie ma, ślicznotko. Niepotrzebnie się wysilasz, bo nikt cię nie usłyszy i nie przybiegnie na pomoc.

I już gdy piernikarka myślała, że faktycznie została całkiem sama i że zaraz stanie się jej krzywda, nagle jeden z trzymających ją łobuzów skrzywił się i krzyknął z bólu. Jego koledzy byli kompletnie zdezorientowani.

– Co ci się stało? Dziewczyna cię pobiła? – zakpił jeden z nich, ale natychmiast sam jęknął. – Ała! Ktoś we mnie czymś rzucił!

Wszyscy zaczęli rozglądać się wokół, ale nic nie dostrzegli w ciemności.

– Kim jesteś? Pokaż się, tchórzu! – krzyknął przywódca bandy i niemal natychmiast coś mocno uderzyło go w głowę.

– Jajko! Ktoś rzuca w nas jajkami! – zorientował się, czym jest spływająca z niego maź. – Chcesz się bić? No dalej, wyłaż, zamiast rzucać w nas z ukrycia!

I nagle tuż obok niego pojawił się czyjś ogromny cień. Postać miała ze dwa metry i wydawała przeraźliwe, syczące dźwięki. Chuligani zastygli ze strachu na swoich miejscach. Przywódca bandy chciał jeszcze coś wyjąkać, ale stwór rozpostarł potężne skrzydła i zaczął się do nich powoli zbliżać. Tego było za wiele. Oprawcy puścili wolno swoje ofiary i zaczęli uciekać w popłochu, nie oglądając się za siebie. Piernikarka szybko podbiegła do Gutka, żeby sprawdzić, czy nic mu się nie stało. Na szczęście piesek był tylko mocno przestraszony.

Tymczasem tajemnicza postać podeszła bliżej. Dziewczyna już miała wziąć przykład z łobuzów i zacząć uciekać, ale światło latarni padło na stwor. Cztery pary oczu patrzyły na piernikarkę z dezaprobatą.

– Mówiłam ci, żebyś nie ruszała się ze swojego miejsca – odezwała się przekupka z Nowego Rynku, zdejmując z głowy swoją gęś.

– To pani! – ucieszyła się dziewczyna. – Nawet nie wiem, jak mam pani dziękować! Gdyby nie pani... Aż boję się myśleć, co ta banda by nam zrobiła. Jestem pani niezmiernie wdzięczna!

– Nie możesz być taka nierozważna. Wy, młodzi, zawsze macie siano w głowie. A potem same kłopoty! Przez te krzyki nie da się spać! Musiałam iść tu taki kawał drogi... I zmarnowałam na ciebie moje cenne jajka! – lamentowała starsza kobiecina.

– Ojej! Tak mi przykro. Naprawdę postaram się to pani jakoś wynagrodzić. To się więcej nie powtórzy – dziewczyna próbowała ją przebłagać. – Proszę, niech pani przyjmie trochę pierników na przeprosiny i w dowód wdzięczności.

Przekupka spojrzała na nią z kwaśną miną i zerknęła do koszyka z ciastkami.

– Pierniki mówisz. No spróbujmy – powiedziała łaskawie i sięgnęła po przysmak.

I już po pierwszym kęsie jej twarz się rozpogodziła, choć bardzo starała się tego po sobie nie dać poznać.

– Hm. Mogą być. Właściwie całkiem niezłe. Nie zwróci mi to jajek, ale w sumie surowych jaj przecież bym nie zjadła. – Przekupka wyraźnie dała się udobruchać i nawet lekko się uśmiechnęła.

Piernikarka, Gutek i przekupka z gęsią wrócili bezpiecznie na swoje miejsca tuż przed świtem. A następnej księżycowej nocy, gdy pomniki znów ożyły, dziewczyna i jej piesek ponownie odwiedzili starą znajomą, by poczęstować ją piernikami. Tym razem kobieta nie przegoniła ich, a nawet zaczęła opowiadać im ciekawe historie z czasów swojej młodości.

Z czasem piernikarka i przekupka zaprzyjaźniły się bardzo. Początkowo to dziewczyna przychodziła do kobieciny, ale z czasem ona też odważyła się podejść do przyjaciółki. Aż w końcu pewnej nocy razem wybrały się na spacer po mieście. Odwiedziły wszystkich znajomych piernikarki i doskonale się razem bawiły.

Ich przyjaźń trwa do dziś, a jeśli w którąś z księżycowych nocy postanowicie wybrać się na spacer po Toruniu, kto wie, może gdzieś je spotkacie. Tylko przypadkiem nie pytajcie przekupki o brakujące w jej koszu jajka, bo może się na was obrazić.

Krystyna Wasilkowska-Frelichowska

Jak słowiczy śpiew wabił wodniaków

Od 1423 roku, od chwili wskazania przez Władysława Jagiełłę lokacji ich nowego patrymonium¹, byli solą w oku torunian! Mówiono o nich krótko: „ci z Nowej” i niemal zawsze niepochlebnie, nie wymawiając całej nazwy miasta ze strachu, że jeszcze gorsze лихо to obudzi. A ci z Nowej na drugim brzegu Wisły w mig założyli swą siedzibę, budowali domy na potęgę. Wciąż dymiły piece do wypalania cegieł i wapna. Wytyczali równiutkie ulice prowadzące wprost na nabrzeże, które przez lata obrosło pojemnymi spichlerzami. Torunianie z drugiego brzegu tylko zerkali jednym okiem na wielki ruch w tym sąsiadującym z nimi przeklętym mieście. I jak na złość, jakby nie istniała oddzielająca ich rzeka, dochodził do nich perlisty śmiech mieszkających tam szczęśliwych ludzi, przedostawał się na sam toruński rynek, odbijał się o ratusz i rozchodził po całym mieście, aż ludziom uszy rozsadzało do bólu.

Nieraz mieli nadzieję, kiedy na wiosnę topniały śniegi, że ta nielubiana przez nich osada spłynie przy wielkiej wodzie. Ale gdzie tam! Woda ino podchodziła pod domy i zaraz wracała do głównego nurtu.

U tych z Nowej Nieszawy nawet kościół niespodziewanie wystrzelił w górę, pyszniąc się wysoką wieżą. Na domiar złego król Jagiełło za zgodą biskupa Szafrąńca przeniósł tam kolegiatę² św. Wita z Kruszwicy. Torunianie podstępnie wznieśli pożar kościoła i kilku domostw, ale tam, jak tylko zgliszczą ostygły, natychmiast wszystko odbudowywano. A do tego, i jak na ironię, król dał im zgodę na pobór cła po jednym groszu, a dochodziły słuchy, że brali osiem, dziesięć, dwanaście groszy. Doniesiono torunianom, że w No-

1 Patrymonium – terytorialna jednostka feudalna, w której rolę właściciela i opiekuna sprawuje jedna osoba lub jej ród.

2 Kolegiata – kościół niebędący katedrą z kapitułą kanoników.

wej prawo składu mają za nic, bo zmówili się z kupcami z Gdańska na omijanie przepisów handlowych. Dodatkowo nadawali tym przybyszom obywatelstwo, aby mogli kupować grunty i domy. Gdańszczanie z wdzięczności narobili tanie piwo na handel w karczmach. Ale co najgorsze, właśnie tam dobijały barki z towarem, na które bezskutecznie oczekiwano w Toruniu. I to była zasadnicza kość niezgody!

Po śmierci króla Jagiełły jego syn Kazimierz Jagiellończyk też im wyjątkowo sprzyjał. Właśnie tam chętnie przebywał, gości na nieszawskim brzegu witał i do tamtejszego dybowskiego kasztelu³ zapraszał. O zgrozo, doszło do tego, że akta cerekwicko-nieszawskie właśnie tam spisywał. Na domiar złego na tamtejszym zamku wydał ważny dokument zwany statutami nieszawskimi. A czy nie lepiej by brzmiały... statuty toruńskie?

Żadne dalsze napady organizowane cichcem przez torunian, podpaleńia ani plądrowania miasta nie dawały rady ich potędze. Torunianie nie mogli pojąć też tego, dlaczego Żydzi ciągnęli tam jak pszczoły do ula, a wiadomo, że ludzie ze smykałką do handlu i lichwiarstwa powodowali, że kupiectwo w Nowej kwitło. I to ci przekłęci nieszawianie stawali się wielkimi handlowcami i zamożnymi ludźmi. Nawet w Toruniu liczono się z mieszczanami zza Wisły: Andrzejem Gruczem, Maciejem Bemem, Mikołajem Grzechem czy Jakubem Wolfem. Zdarzyło się, że torunianie chcieli zwabić ich i namawiali na przeniesienie do Torunia, to na ten przykład zarozumiały Beme odpalił: „Wolę drewniany dom w Nieszawie niż wasze dwa murowane w Toruniu”. Tacy byli butni, że nawet najlepszy lekarz osiedlił się na kujawskim brzegu i sam mistrz krzyżacki zawierzył mu swoje życie. Kościelny od św. Jakuba złorzeczył, że dzwon zza Wisły zagłusza ten z jego świątyni. Torunianie bali się głośno przeklinać na tych z przeciwka, bo tak jakoś bywało, że wtedy rychło dosięgało ich jakieś nieszczęście. A to spichlerz się nie zapełniał zbożem jak kiedyś, a to komuś murowaną jatkę⁴ zniszczono, a to kury przestawały

3 Kasztel – nieduża twierdza, warowny zamek, gród, który zajmował przedstawiciel władzy, lub warownia, forteca.

4 Jatka – sklep mięsny.

znosić jaja albo niespodzianie pożar wybuchł i strawił całe domostwo. A co było najdotkliwsze, niewiasty w Toruniu traciły słuch od tych wysokich dźwięków w zaśpiewach dochodzących zza rzeki.

I jak na komendę, na dowód, o czym rozmawiali, zza Wisły usłyszano pieśń weselną:

*Oj, chmielu, chmielu⁵, ty przepyszne ziele
A gdzie ciebie nie ma, tam smutne wesele*

*Nu chmielu, nu nie boże
Tu zdrów, tu nie może
Nu chmielu, nu*

*Żebyś ty, chmielu, na tyczki nie laźł
Nie zrobiłbyś ty z panien niewiast*

*Ale ty, chmielu, na tyczki włazisz
Niejedną panienkę ze świata zgładzisz*

*Oj chmielu, chmielu, a na tobie rosa
A ty wyprowadzisz od trzosa⁶ do grosza*

*Oj chmielu, chmielu, a na tobie jarka
A ty wyprowadzisz od spichrza do ziarnka*

*Oj chmielu, chmielu, a na tobie liście
A gdzie ciebie nie ma, tam smutne zajście.⁷*

5 Chmiel – nie tylko roślina związana z browarnictwem, lecz także środek o cennych właściwościach leczniczych.

6 Trzos – woreczek na pieniądze, sakwa, kiesa.

7 Najstarsza ze znanych pieśni weselnych.

– To wszystko jest nie do wytrzymania! Tam muszą działać jakieś praktyki magiczne! Oni rzucają na nas czary! I to wszystko musi się skończyć! – szeptali po cichu torunianie.

Wytrzymywali ten stan rzeczy trzydzieści parę lat i zgodnie powiedzieli: „Koniec naszej poniewierki przez tych przeklętych z Nowej”. Od tej pory każde spotkanie w ratuszu kończyło się postanowieniem rajców, że trzeba położyć kres tamtym z Nowej Nieszawy. W każdej gospodzie o niczym innym nie rozmawiano, tylko dały się słyszeć utyskiwania na tych zza Wisły. Układano dziesiątki planów na ich zagładę. Swoje pretensje zanoszono też królowi, ale on tylko słuchał, nabierał wody w usta i ani be, ani me, ale do czasu...

W 1459 roku zbiegły się dwa wydarzenia: król wreszcie włączył się w ostrą dysputę o tych złych z Nieszawy i głośno układał plany ukrócenia panoszenia ludności z Nowej, a równocześnie w odległym Krakowie Elżbieta Rakuszanka rodziła kolejne królewskie dziecko i okazało się, że dzieciątko o imieniu Olbracht urodziło się z wieloma wyrzutami na swoim malutkim ciałku. Wszyscy zgodnie orzekli, że małego dosięgnął zawiślański urok rzucony na dziecko. Królowi zapaliła się w głowie ostrzegawcza iskierka. Czary! Klątwy! Uroki!

Torunianie, którym najbardziej zależało na unicestwieniu Nowej, obrali swoją reprezentację dla umyślenia metody, aby raz na zawsze przeklęta Nieszawa przestała istnieć. Kupcy, rzemieślnicy, rybacy i inne gildie⁸ przygotowali swoich wybrańców, by opracować dobrą i skuteczną strategię. Umówili się, że w najbliższą niedzielę, kiedy zamilkną poranne dzwony w kościele św. Jakuba, spotkają się w austerii⁹ przy Bramie Mostowej. Przyszli wszyscy pokrzywdzeni i rozsiedli się przy wielgachnych stołach. Piwowar Jakub Kuś zarządził wtoczenie kilku beczek piwa na rozwiązanie języków i kiedy przed wszystkimi ustawiono garnce z perlistym trunkiem, to przez dłuższy

8 Gildia – określenie średniowiecznych stowarzyszeń kupieckich i rzemieślniczych.

9 Austeria – karczma

czas, zapominając, po co tu przyszli, rozkoszowali się zapachem, klarownością i musowością trunku. Wycierali pianę spod nosa i ponownie pociągali duże łyki trunku. Kiedy w kuflu było już widać dno, głos zabrał właściciel opustoszałych spichlerzy przy ulicy Piekary – Mikołaj Wojtul. Ubrany był starannie i z cudzoziemska w bławatną szatę z wąskim kołnierzem z rysia, wykończoną purpurą. Widać skopiował model, zapatrzwszy się na strój krakowskiego handlowca, z którym za dobrych czasów ubijał interes handlowy przy swoim spichlerzu. Trzeba dodać, że przybysze zawsze byli pięknie odstrojeni, gdyż często bywali w szerokim świecie. Wojtul podniósł rękę na znak, że chce mówić. Uciszyli się niechętni, bo piwo już cudownie szumiało w ich czuprynach, więc mocno wysilił głos i powiedział:

– Musimy niezwłocznie ukrócić ich samowolne – podkreślił dobitnie – bogacenie i uprzykrzanie nam życia. – Ze strachu nie używał nazwy miasta, szukał w pamięci delikatnych i odpowiednich określeń, bo wciąż wspominał pożar swojego największego spichlerza i był przekonany, że ci z Nowej spowodowali to nieszczęście swoimi tajnymi urokami. Po chwili zastanowienia dodał: – Niech każdy, jak tu siedzi, przedstawi choć jeden przykład swoich krzywd od tamtych zza Wisły.

Podniósł się Maciej Kostur, właściciel kilku baraków przeznaczonych na skład soli, obciągnął poły żupana¹⁰ łyczakowego¹¹ z ciemną stebnówką, poprawił kołnierza wysoki i głośno rozpoczął:

– Ja z moim kuzynem Jakubem Starowolskim i z za płotem mieszkającym Maciejem Gromnickim upatrzyliśmy przez kilka kolejnych dni, jak tam odbywa się wabienie tych, co płyną z towarem w dół rzeki. Każdego dnia na przedmieściu osady powyżej rzeki zbierają się powabne nieszawskie dziewczęta, w barwnych wiankach kwiatowych, krasnych spódnicach, siadają na brzegu rzeki i śpiewają jak jaki chór słowików. Mimo że ich okrutnie nienawidzimy, to przyznaję, że śpiewają tak pięknie, że my nawet tracimy moc

¹⁰ Żupan – staropolski ubiór męski.

¹¹ Łyczakowy – wyrób z włókien, czyli łyków konopnych.

w nogach, wciąż stoimy i chcemy dalej słuchać ich *canto*¹² – zawiesił głos i dopowiedział ciszej: – Razu pewnego taka niemoc w nas była, że ja z moim kuzynem i panem Maciejem Gromnickim pragnęliśmy słuchać tego pięknego brzmienia najdłużej. O naszych niewiastach zapomnieliśmy i o własnych dzieciach... Fakt, że wszystko wracało do normy, jak przestawały na jakiś czas śpiewać.

Wtórował mu Starowolski, przedstawiając najcięższy argument:

– Nic więc dziwnego, że różności, które płyną rzeką: dubasy¹³ ze zbożem, flis spławiający drewno, flisacy na komięgach¹⁴ z łasztami¹⁵ zboża, bekami śledzi czy solą, zamiast do Torunia dopływają tam, gdzie tak pięknie śpiew słyhać... I jest odpowiedź na to, jak to się dzieje, że ich składy i spichlerze zapełniają się, co daje im wielkie pieniądze i bogactwo.

Te słowa podobały się wszystkim, co gromkimi brawami potwierdzili.

Inny argumentował, że ostatni pożar jego domostwa to dowód na rzucony urok.

– Bo jak inaczej mogło być? – spytał zebranych. – Deszcz lał jak z cebra, a oni zza rzeki puścili błysk, huk i zarusieńko zapalił się dach mojego domu.

Inni też wtórowali, że huk, błysk dochodził zawsze właśnie od strony Nowej. I rychło ogień buchał i trawił chałupę.

Toruńscy kramarze, pokrzykując, złorzeczyli też na tamtych, że towar nie idzie, mięso się psuje i muszą zakopywać. Ubolewali, że stragany niszczej opustoszałe. Przedstawiciel z cechu szewców wyłożył następne dowody, że szewcy nie sprzedają i nawet nie reperują już obuwia przyjezdnych płynących z góry rzeki. Piekarze, co dobry chleb wypiekali, wtórowali w swojej sprawie, a piernikarze ze łzami w oczach dowodzili, że w Nowej

12 Canto – śpiew.

13 Dubas – staropolski statek rzeczny wiosłowo–żagłowy do przewożenia towarów.

14 Komięga – statek rzeczny do jednorazowego spływu z biegiem rzeki, głównie do spławiania zboża; używany do XIX wieku.

15 Łaszt – dawna miara objętości ciał sypkich, zwłaszcza zboża.

pierniki pieką i wabią na potęgę – dodają korzenne łakocie do każdego kufla piwa.

Główny lekarz Jan Maier, podpierający się laską dereniową z gałką u wierzchu, na chwiejnych nogach – czemu zawiniło morze piwa – podszedł do Mikołaja Wojtulasa, na znak solidarności poklepał go po ramieniu i cichym głosem zaproponował dostarczenie toksykantu¹⁶, jedyne sposoby na wytrucie znienawidzonych tamtych. Ci z brzegu, co wszystko usłyszeli, mieli miny świadczące, że ta propozycja zdobędzie ogromny aplauz, ale za chwilę i na nich przyszło opamiętanie i wielki strach przed karą z niebios. Nawet doktor Maier zwątpił w swój genialny pomysł.

Ostatni przemawiał właściciel gospody murarskiej Michał Cera. Wyłożył swoje żale, że kiedyś to w jego gospodzie trudno było o miejsce przy stole i dowodził:

– Dzień w dzień połówki świnek przerabiałem dla miejscowych i dla wodniaków, całe półcie słoniny wędzonej kupowali flisacy, smalczyk ze skwarkami topiłem i w garnkach nastawiałem na stół. Beki ogórków kisilem na zagrychę, a mój parobek nie nadążał donosić bochnów chleba. Serce mi rosło, jak w beczkach wina i piwa co rusz musiałem czopy¹⁷ wybijać. A teraz co? Teraz to najliczniejszymi gośćmi są myszy, co bezkarnie się goszczą, uczują, baraszkują i na nocleg na poddaszu się kładą...

Zebrani parsknęli gromkim śmiechem, każdy na swój sposób wyobrażał sobie te myszy za stołem i wyjadające wiktuały, albo też smacznie śpiące w wyrkach dla gości. Nagle uciszyło się i jak na komendę spoważnieli wszyscy.

Mikołaj Wojtulas podniósł się z ławy, zerwał czapkę z głowy i położył na stole.

16 Toksykant – środek trujący.

17 Czopy – zatyczki do beczek.

– Jak widzę, to wszystkich żale już wysłuchaliśmy, więc teraz trzeba umyślić plan dalszego działania. Decydujemy i postanawiamy wysłać do króla tęgie poselstwo torunian na audyencję. Zgoda?

Wszyscy gromkim głosem potwierdzili ten plan. I tak też się stało! Torunianie, jakby przeczuwali pomyślne załatwienie sprawy, w podzięcie nanosili do królewskiej komnaty paradnej moc najprzedniejszych towarów. Wielkie bele cudnej jakości kolorowych jedwabi i dziesiątki łokci¹⁸ pięknych aksamitów¹⁹. Skrzynie pierników lukrowanych i sucharków pszennych. Mięsa peklowane i wędzone, skrzynkę wielgachnych łososi. Na końcu kuferek z kilkoma parami butów na monarsze nogi i wiele innych różności. Ci najbardziej pokrzywdzeni osobiście stanęli przed monarchą, głosząc swoje krzywdy, których król z uwagą wysłuchiwał i przyjął wszystkie argumenty. Wszak przypominał sobie swojego synka, niebożątka urodzone tamtej zimy – Olbrachcika popstrzonego pypciami na twarzy... I zestrachiał się, również tym, że musi sprawę załatwić, bo w innym wypadku udział wściekłych torunian w wojnie z Krzyżakami też może być pod znakiem zapytania...

Poselstwo wyczuło moment zawahania i gromkim krzykiem dalej wymuszało:

– Królu, zniszcz Nieszawę. Zniszcz!

I tak po trzykroć zakrzyknęli.

Monarcha bez słowa wezwał pisarza królewskiego Tomasza Trompczyńskiego i wystawił dokument z rozkazem natychmiastowego unicestwienia Nowej Nieszawy! Pisarz pogrubiał równiutkie litery: „Miasto zrównać z ziemią, a ludzie niech idą precz!”

Król dodał na zakończenie:

– Gdybym ja tego nie dopilnował, możecie sami pomścić swoje straty i zniszczyć to miasto!

Zabrzmiało to tak, jakby sam nie chciał mieć tego na sumieniu...

18 łokieć – jednostka miary. Tradycyjna europejska miara łokcia nawiązywała do średniej długości ręki od stawu łokciowego do końca palca środkowego. Dzielił się najczęściej na 2 stopy albo 24 cale.

19 Aksamit – tkanina bawełniana lub jedwabna z krótką okrywą włosową.

Kiedy Kazimierz Jagiellończyk został sam w komnacie, zdjął koronę, zrzucił wierzchnią szatę, buty zsunął z nóg, usiadł w fotelu i zamyślił się głęboko. I jakoś zrobiło mu się smutno, że wydał okrutny wyrok na całkiem, całkiem obrotnych, postępowych, pomysłowych i pracowitych ludzi z Nowej Nieszawy. Pomyślał, że sam chętnie popatrzyłby na urodę i posłuchał wabiącego śpiewu pięknych nieszawskich dziewcząt. Rozmarzył się, a że był zmęczony całym dniem, to rychło dosięgnął go kamienny sen.

Świt nie przyniósł ulgi dla króla, nie jadł i nie pił wcale, choć stół był zastawiony smakowitościami. Nawet wspaniałe dary torunian nie cieszyły władcy. Dopiero koło południa nadeszła wspaniała wiadomość o kolejnym stanie błogosławionym jego małżonki, która rozjaśniła zasmuconą twarz. Ale wówczas, ponownie rozbłysła w królewskiej głowie ostrzegawcza iskierka.

– Co mi przyszło do głowy być takim niegodziwym? Kazać miasto zrównać z ziemią, a ludzi przepędzić na cztery wiatry? Źle zrobiłem, bardzo źle! Jeszcze urok jakiś rzucą...

Dwa dni później, to jest 24 września 1460 roku, ponownie wezwał pisarza i podyktował dokument określający konkretne dla nieszawian położenie – wskazał teren wyludnionej wsi królewskiej Rozkydalino i dużo korzystnych praw dla nowo zakładanego miasta.

Powstało ono cztery mile w górę Wisły i przybrało dumną nazwę: Nieszawa! Jak wieść niesie, ci z Nowej, jak na złość torunianom, ładowali swój dobytek na czółna i płynęli w górę Wisły przy wtórze perlistego śmiechu, śpiewów, w przeświadczeniu, że nowe miejsce stworzy im jeszcze lepsze warunki do założenia miasta, lepszego handlu, gdyż cztery mile to bardzo daleko od zazdrosnych sąsiadów.

JURY KONKURSU LITERACKIEGO „NOWA LEGENDA TORUŃSKA”

HALINA CIECHORSKA Bibliotekarka i polonistka. Praca z książką jest jej zawodem, a literatura pasją. Lubi czytać, podróżować, poznawać nowe miejsca i ciekawych ludzi. Najlepsza książka według niej to pełne magii *Sto lat samotności* Gabriela Garcii Marqueza. Lubi twórczość Edwarda Stachury. Słucha poezji śpiewanej, ale też hard rocka. Coraz bardziej ceni spokój, dlatego słowa Waltera Hagena to jeden z jej ulubionych cytatów: „Nie śpiesz się. Przybyłeś na ten świat jedynie z krótką wizytą. Dlatego nie zapomnij schylić się i... powąchać kwiaty”.

KATARZYNA KOŹLIKOWSKA Nauczycielka języka polskiego (a czasem również łaciny) w III Liceum Ogólnokształcącym w Toruniu. Czyta, słucha, ogląda i rozmawia. W czasie roku szkolnego najczęściej kradnie czas na kino, teatr, koncert, a jeśli nie tonie akurat w sprawdzianach i wypracowaniach – to także na książki. Mimo życia w „ciekawych” dla szkoły czasach nadal lubi uczyć, a kiedy tylko może, podróżuje, ponieważ wietrzenie głowy jest dla niej tak samo ważne, jak organoleptyczne poznawanie świata, którego ciągle jej mało. Uwielbia też pokazywać go uczniom i cieszy się bardzo, kiedy udaje jej się ich zarazić miłością do „jej miejsc”.

ROBERT MAŁECKI Politolog, filozof i dziennikarz, a także nauczyciel kreatywnego pisania i autor poczytnych kryminałów. Uznawany za jednego z najlepszych specjalistów w tej branży. Laureat Nagrody Wielkiego Kalibru oraz nagrody Kryminalnej Piły za *Skazę*, pierwszy tom cyklu z komisarzem Bernardem Grossem. Kryminalne serca czytelników zdobył świetnie skonstruowaną, mroczną i wciągającą do ostatniej strony trylogią z dziennikarzem Markiem Benerem (*Najgorsze dopiero nadejdzie*, *Porzuć swój strach*, *Koszmary zasną ostatnie*).

URSZULA SĘCZYK-BONCZKOWSKA Etnolożka z wykształcenia, torunianka z wyboru. Najczęściej można ją spotkać na Facebooku, chociaż wolałaby spędzać czas w bibliotece i kinie. Czyta wszystko, co wpadnie jej w ręce, dając pierwszeństwo powieściom i opowiadaniom Stephena Kinga, Harukiego Murakamiego, Neila Gaimana oraz książkom nauczycieli i absolwentów Maszyny do Pisania. Ulubiona legenda z życia Torunia – o flisaku i żabach.

ANNA TATARZYCKA-ŚLĘK Nauczycielka i bibliotekarka. Redaktorka poczytnych *Legend morskich*, *Legend polskich* i *Legend toruńskich*. Kierowniczką Filii nr 3 Książnicy Kopernikańskiej w Toruniu. Laureatka szóstej edycji dyktanda z okazji Międzynarodowego Dnia Języka Ojczystego. Ukończyła filologię polską na Wydziale Humanistycznym UMK i podyplomowe dziennikarstwo na UKW. Lokalna (i nie tylko!) patriotka. Miłośniczka książek, roślin pokojowych i balkonowych, kotów, choć ostatnio psów, a zwłaszcza beagli. Szanuje przeszłość, chce wpływać na teraźniejszość, ciekawi ją przyszłość.

MARCEL WOŹNIAK Urodzony w Kwidzynie pisarz, scenarzysta i reporter. Autor kryminalnej trylogii o toruńskim detektywie Leonie Brodzkim (*Powtórka*, *Mgnienie*, *Otchłań*) oraz biograf Leopolda Tyrmanda, Pisarza Roku 2020. Za debiut *Biografia Leopolda Tyrmanda. Moja śmierć będzie taka, jak moje życie* otrzymał nagrodę Książki Miesiąca Magazynu Literackiego *KSIĄŻKI* (biografie, grudzień 2016). Absolwent Adaptacji Scenariuszowej w Warszawskiej Szkole Filmowej. Obecnie doktorant literaturoznawstwa na UMK w Toruniu.



ISBN 978-83-919056-6-1



9 788391 905661